MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 25. WARSZAWA, 5 CZERWCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY TO JEST POLITYKA?

SŁUSZNIE chwalą się pisma sanacyjne, że pomajowy system polityczny umożliwia rządowi prowadzenie polityki, że daje ministrom swobodę ruchów, pozwala nie liczyć się z fluktami opinji. Na to wszakże, aby taki nieskrępowany minister prowadził politykę, czyli aby ten błogosławiony system przyniósł błogosławione owoce, trzeba jeszcze czegś więcej: i z karabinu maszynowego trzeba umieć strzelać.

Polityka gospodarcza musi być w pewnym stopniu przewidywaniem. Nie jasnowidztwem, ani proroczemi wizjami, ale przewidywaniem, opartem na znawstwie życia gospodarczego oraz niejakiej prawidłowości jego zjawisk, ustalonej przez kompetentnych i przez naukę, na znajomości historji oraz wielu innych rzeczy, dostarczanych przez wykształcenie, a odrzucanych dumnie przez genjuszów z natchnienia.

Przykłady zdolności patrzenia w przyszłość gospodarczą przez sanatorów są zbyt znane. W roku ubiegłym od trzymiljardowego planu budżetowego, głoszonego w okresie wyborczym, poprzez preliminarz dwu miljardów ośmiuset, następnie schodzono w przewidywaniach mniej więcej o sto miljonów miesiecznie. Czy naprawdę w przewidywaniach, czy może tylko w konstatacjach? — Sławny będzie kiedyś ów fundusz drogowy, który przyniósł cztery setne preliminowanych wpływów, ale za to o sto procent pogorszyły się w tym roku drogi.

Ubiegłej jesieni, na sejmowej komisji skarbowej, p. minister skarbu Jan Piłsudski, zapytywany, czemu nie zwołano sejmu dla pewnego posunięcia finansowego, przekraczającego kompetencje rządu i dopiero *ex post* żąda się zatwierdzenia, odpowiedział, że to nie dałoby mu ani jednego złotego więcej. To, co powiedział p. minister, było więcej, niż niesłuszne. Klątwą bowiem naszego życia gospodarczego jest poczucie nietrwałości stosunków, niepewność, brak zaufania — zły stan kredytu. I głównem źródłem, głównym twórcą stanu tych rzeczy w nowoczesnych stosunkach jest polityka państwa; są więc u nas miesięczne budżety, wciąż niosące zabójcze niespodzianki, dzięki którym za nieumiejącem kalkulować państwem idzie niemożność kalkulacji żadnego uczciwego przedsiębiorcy, jest właśnie lekceważenie formalności i ustaw, paraliżujące tętno życia, jest nieznajomość łańcucha przyczyn i skutków w dziedzinie gospodarczej ze strony czynników kierowniczych. I dlatego przestrzeganie ustaw, tworząc kredyt, dałoby nie jednego złotego, ale miljony, a natomiast niepewność wypędza z obiegu miljony złotych i dolarów, kryjących się w kieszeniach ludzkich i schówkach, albo wyciekających za granicę. Do prowadzenia polityki takie wiadomości są potrzebne, bo przy każdym złotym policjanta postawić nie można.

„Sanacja“ chwali się, że jej obecne rozporządzanie pieniędzmi skarbowemi jest polityką oszczędnościową. Dwa zastrzeżenia należy tu poczynić.

Przedewszystkiem, czy to są naprawdę oszczędności? Oszczędność wszak polega na tem, że się wydaje mniej, niż wydaćby można, a sanacyjny system finansowy naprawdę nie zmienił się od sławnego roku przekroczeń budżetowych ani na jotę i jest obecnie zupełnie taki sam jak wówczas: zawsze wydawało się i wydaje tyle, ile aparat skar-

bowy potrafi wycisnąć z podatnika, albo da się od kogo pożyczyć i różnica pomiędzy wtedy a dzisiaj nie leży wcale w czemś, co możnaby nazwać polityką, czyli świadomem i celowem działaniem. Ponieważ nikt nie chce pożyczyć, zastawić nic też się chwilowo nie udaje, inflacja zaś byłaby jednoznaczna z odejściem od władzy, więc z konieczności twardej wydaje się tylko tyle, ile stan kas przed pierwszym i operacje rozmaite pozwolą. Czy to są oszczędności? I powtóre, czy to jest wogóle polityka?

Dzisiejsze położenie gospodarcze państwa wymaga od rządu czegoś więcej niż konstatowania zawartości kas przed pierwszym każdego miesiąca, a tak zwane oszczędności nie są niczem więcej, jak obrazem i miernikiem zamierania życia gospodarczego.

Nie jest ono beznadziejne i może być zwycięsko, czyli bez uciekania się do obcej pomocy, opanowane. Aby się to stało wszakże, konieczne są rządy, zdolne zmobilizować najlepsze siły moralne i umysłowe, zdolne poprowadzić rzeczywistą politykę, której celem byłaby moc gospodarcza narodu, a nie tylko utrzymanie się przy władzy dzisiejszej grupy rządzącej.

Dwa te cele oddalają się od siebie coraz bardziej, nawet wyraźnie zarysowuje się ich sprzeczność.

ZDZISŁAW STAHL

O „TAJNYM DETEKTYWIE"

W MOMENCIE, kiedy na plac ubity krakowskiego Pałacu Prasy książę tak często swych adwersarzy, jako ponoś nadwyrężców czci swojej pozywa—przypomnieć godzi się, podnieść i krychą czerwoną grubą podkreślić fakt, który w ordaljach tych zaiste decydujący powinien być: fakt „Tajnego Detektywa". Tym faktem, przy tych właśnie sądów sposobności, cała opinja publiczna porządna, bez różnicy innych poglądów, byle porządna, powinna się zająć *unisono*— nie dlatego, żeby komuś wstyd przynieść zasłużony i osławę należytą, nie żeby się wygrzmieć i w zapomnienie i przebaczenie puścić—ale dla celu ściśle rzeczowego: raz z tym skandalem skończyć, raz wreszcie to bajoro moralnej zarazy zasypać, raz temu pisemku szkodliwemu łeb ukręcić.

Nie kupuje „Tajnego Detektywa" kto przyzwoity. Ale od czasu do czasu w rękę człowiekowi się zabłąka, na ten smaczek „sensacyjny" człowiek się chwilowo skusi i przeczyta szmatkę od deski do deski — a to już wystarczy, ażeby sobie krytyczny sąd o wartości i intencjach tego pisma bynajmniej nie *explicite* wyrażonych, ale *implicite* tam złożonych wyrobić. Wystarczy to, aby stwierdzić, iż:

Jeśliby świat przestępczy wydawać miał swój własny, zawodowy organ prasowy, organ, któryby na celu miał zbiorowość podziemną podtrzymywać i świeżego jej przysparzać narybku—to gazeta taka nie inaczej wyglądałaby, jak właśnie „Tajny Detektyw" [1]).

Nie rzuca się tego twierdzenia bez namysłu, oto poniżej dowody, a w razie czego i garść obfita przykładów, wprost z łamów „Tajnego Detektywa" zaczerpniętych.

Pismo, któreby było organem świata podziemnego, miałoby mianowicie na celu:

1) Podnieść samopoczucie przestępcy: wyobraźmy sobie psychikę, zwłaszcza początkującego przestępcy. Czuje się on w innym, niźli normalny człowiek, świecie. I to jest świat, przez tę samą swoją „inność", straszny, niesamowity. I ta „inność" gniecie duszę człowieka, który się ze społeczeństwa wyłączył. Ta „inność" może go gnieść do tego stopnia, iż wkońcu zapragnie on wyjść z tego świata o innem świetle, z tej stratosfery zbrodni, i powrócić w świat zwyczajnego słońca, słowem: poprawić się.

Ale właśnie, żeby to poprawienie się utrudnić, żeby społeczność zbrodniczą obronić przed dezercją, żeby tych, co raz zeszli z drogi normalnej, wkuć na zawsze w tamtą ekscentryczną sferę, trzeba podnieść samopoczucie przestępcy. Trzeba sobie samemu pokazać *ad oculos*, że się wcale nie jest takim innym, że ostatecznie wkońcu jest się takim samym, jak cały porządny świat. Dlatego należy reklamować przestępcę, inteligentnego, eleganckiego, dobrze sytuowanego, ustalać w wyobraźni typ zbrodniarza-dżentelmena, oswajać opinję z jego obliczem pewnem siebie, zadowolonem, drwiącem sobie z całego świata.

To właśnie czyni „Tajny Detektyw"; w artykule powołanym dałem parę przykładów na to, ale pocóż je powtarzać? Wejdźcie do pierwszej lepszej knajpy i przy szklance piwa obejrzyjcie jakikolwiek nr. „Tajnego Detektywa", w każdym znajdziecie to samo. Znajdziecie ilustracje i artykuły, z których tchnie chorą romantyką zbrodni, bije podziw dla sprytu i inteligencji zbrodniarzy, które dają obraz luksusu i elegancji zbrodniarzy, które w wielkich, cynicznie śmiejących się podobiznach dają harde, zuchowate, pewne siebie oblicza zbrodniarzy. A wszystko to musi służyć do tego, żeby podnieść samopoczucie przestępcy—tego, który już Rubikon przekroczył i tego, który jeszcze nad nim stoi i waha się...

2) Oswoić z trupem i krwią. Kiedy już w umyśle młodzieńca nieco wykolejonego, — jakże ich wielu teraz, w tych okropnych czasach nędzy nieuniknionej oraz użycia *á tout prix*! — nastąpiło przeświadczenie, że świat przestępstwa nie jest znów tak głęboko zdeformowany, tak bardzo niesamowity, owszem, że jest to świat wkońcu dość „zwyczajny", co więcej, ta zbrodniczość ma w sobie coś podziwu godnego, bo jest techniką, wymagającą wysokich nieraz kwalifikacyj zawodowych — kiedy słowem, zbrodnia uzyskała już pewien urok w takim, wykolejonym już nieco umyśle — to przecież pozostaje jeszcze druga, potworna i przeraźliwa strona zbrodni, jej najrealniejsza *realitas* i esencja, ten mord, ta krew, ta groza, te ofiary, te zwłoki po-

[1]) Już raz pisałem o tem w art. p. t. „Rozrywki umysłowe p. Marjana Dąbrowskiego, czyli o nowem czasopiśmie zawodowem" („Szczerbiec", sierpień 1931 r.).

hańbione... I przed tem się może nie jeden wzdrygnąć i cofnąć. Ale na wszystko znajdzie się rada, do wszystkiego można się przyzwyczaić, bierz truciznę z dnia na dzień po szczypcie, a znieczulisz się na dawkę prawdziwą!

Od tego właśnie jest „Tajny Detektyw": w każdym numerze znajdziesz tam fotografje trupów, zamordowanych, samobójców, topielców itp. Znajdziesz tam fotograficzną ilustrację do powieści, przedstawiającą jak mężczyzna dusi kobietę. A gdy kobiety shańbionej nie można było odfotografować — bo jej nikt wtedy nie widział,—to wezmą inną kobietę, ułożą ją *lege artis*, dekoltują odpowiednio i tak fotografują — i podadzą czytelnikowi jako dokument faktu.

3) Wychowywać umysłowo do zbrodni. To właśnie czyni „Tajny Detektyw". Popatrzcie na dział, który się nazywa niewinnie i figlarnie: „Rozrywki umysłowe". Oto w nr. 19 obrazek: sąd, jakieś indywiduum osadzone na ławie oskarżonych, jako *corpora delicti* leżą: sukienka, topór, ręka i nos w słoiku, książka szkolna II kl. gimnazjalnej. Tak, proszę państwa, taki jest obrazek, a pytanie obok takie: „O jaki czyn jest oskarżony przestępca? Jakiego rodzaju jest czyn przez niego popełniony? Kto padł ofiarą tego czynu (wiek i zawód)" i t. d. A pod tem, proszę słuchać: „Rozwiązujący weźmie udział w losowaniu nagród, I-a wynosi 50 zł. i t. d. Dołączony musi być kupon". W tym samym n-rze rozwiązanie zagadki z poprzedniego, z objaśnieniem dokładnem mordu skomplikowanego i dobrze obmyślonego: podano, jakim sposobem zbrodniarz psa otruł (przez mur przerzucił zatrute mięso) i t. d. W tem zadaniu nagrody były wyższe, i tak: I-ą w kwocie 100 zł. otrzymał p. Stan. Wieliczko ze Stanisławowa, II-ą p. Edmund Wróbel w Kątach itd. Wartoby znać wiek, zawód — i późniejsze losy uczestników tych rozrywek umysłowych p. Dąbrowskiego. Pytam, czyż to nie istny korespondencyjny kurs zbrodni?!... Na te obietnice nagrody, na ten ochłap, rzucony jak głodnym psom, łapią się przecież, złym sposobem wciągają się umysły i wyobraźnie różnych biedaków, bezrobotnych, wykolejeńców w systematyczne rozmyślania o zbrodniach wszelakiego rodzaju, wprost wyzywa się ich pomysłowości zbrodnicze, a tym sposobem, śmiało to powiedzieć można, wychowuje się tę nieszczęsną młodzież do zbrodni.

I tak z numeru na numer, z tygodnia na tydzień! Niema działu przestępstwa, którego tajników „Tajny Detektyw" swem fachowem okiem nie wykryłby, nie podał, nie nauczył. Pomyślano troskliwie o wszystkich. Oto artykuł o szwindlach w sporcie, oto znów serja nieuczciwych podstępów w jakimś innym dziale życia.

I tak z numeru na numer, z tygodnia na tydzień! A dodajmy jeszcze artykuły „filozoficzne" na temat przestępstwa i przestępców, tchnące relatywizmem moralnym. Dodajmy ilustracje fotograficzne, jeśli już nie zbrodnicze, to starannie obmyślone tak, ażeby do tej krwawej i ciężkiej potrawy dodać jeszcze trochę lżejszego, lubieżnego smaczku...

Są takie pisma—to prawda i chcąc nie chcąc społeczeństwo je toleruje. Ale zdaje się, owszem, nie ulega żadnej wątpliwości, że tu już miarka została przebrana. Że jeśli w naszych czasach wolno być komuś wydawcą pisemek brukowych dwuznacznych, sensacyjnie obskurnych, to jednak, nikomu, żadną już miarą nie wolno chyba prowadzić korespondencyjnego kursu zbrodni?!...

Oczywiście, że pp. Dąbrowski i Stankiewicz, którzy te rozrywki umysłowe „Tajnego Detektywa" finansują—mają odpowiedź pod ręką: Oni chcą pouczyć społeczeństwo o zbrodni, chcą, ażeby wiedziano, jak się bronić od niej.

Oczywiście, oczywiście... któżby mógł o coś mniej sumiennego posądzać kawalera wielu orderów i filar odrodzenia moralnego! Wprawdzie, wprawdzie mógłby ktoś pomyśleć sobie, że takie pisemko przynosi dobre, tłuste dochody, bo wszak obok adeptów i aspirantów zbrodni czytywane jest przez całą moc porządnych kołtunów, którzy lubią w niedzielę, pod jaworem siedząc, przeczytać sobie, jak kogo oszwabili, okradli, zamordowali, obejrzeć sobie przystojne fizjognomje bandytów i ich metres, fotografje trupów i wisielców — mógłby więc ktoś coś niecoś o dochodach z „Tajnego Detektywa" pomyśleć, i pomyśleć przytem, że jego wydawca jest jako ów Wespazjanus, co nie wąchał pieniędzy, owszem zadziwić się nawet, jak to może być, żeby dżentelmenowi i kawalerowi wielu orderów nie ckliwo było bawić się tak obskurną, trupią zabawą — jak wydawnictwo trupławego pisemka „Tajny Detektyw"... — ale precz wszystkie brzydkie myśli! To wszystko, co się tu rzekło, to tylko takie sobie *als ob*, fikcyjna i żartobliwa supozycja na chwilę: Nie przypuszczamy bynajmniej, na serjo rzekąc, aby „Tajny Detektyw" był pismem świadomie wydawanem dla podparcia samopoczucia zbrodniarzy, dla oswajania ludzi z trupami i krwią, dla wychowywania biedaków do zbrodni, dla deprawowania w niesłychany sposób gustu przeciętnej publiki, — która się zbyt łatwo zaiste w tych krwawych kwarglach rozsmakować może.

Nie, nie przypuszczamy, aby „Tajnego Detektywa" wydawała jakaś organizacja złodziejska—co stwierdzamy uroczyście. Ale zarazem stwierdzamy jak najbardziej stanowczo, a temu stwierdzeniu przytakną wszyscy, krórzy to pismo by raz w ręku mieli, a bezinteresowni są, krytyczni, o zdrowie publiczne czujni, i poprostu przyzwoici, że *de facto* działanie „Tajnego Detektywa" nie może być inne, tylko takie właśnie i wyłącznie takie. I jeśli wydawca jego sumienie ma, to w takim razie nad skutkami swego wydawnictwa nie namyślił się jak należy.

Dla przestrzegania przed zbrodniami dość już czynią pisma codzienne, dziś relacjami rzeczy potwornych przepełnione, tak jakby się jakaś orgja djabelska rozpętała nad naszym biednym światem! Do urządzania kursów detektywicznych, do pouczenia o technice zbrodniczej powołana jest na swoim terenie policja państwowa. Jeśliby nawet szło o informacje i ostrzeżenie dla porządnych ludzi, jak się mają chronić w różnych wypadkach przed przestępcami, toby można było dawać w pismach codziennych ściśle rzeczowe, i w zgoła innym tonie i rozmiarze utrzymane pouczenia. Ale, jeśli czego trzeba dziś, czego mamy prawo domagać się od prasy i władz, to tego, ażeby chronić wyobraźnię i myśl szerokich mas przed rozsmakowywaniem się w rozpuście i krwawej strawie, przed wmyślaniem się w technikę zbrodni! I jeśliby takie rozrywki umysłowe, konkursy i zagadki, jeśliby takie jak w „Tajnym Detektywie", obrazki i opowiastki jednego tylko wykolejonego chłopca pogorszyć miały i oswoić ze złą pokusą, moralnie do

reszty zwątlić, do przestępstwa ostatecznie zdeterminować i pośpieszyć—to już ten jedyny fakt byłby o pomstę do nieba wołający i o wyrok obelgi do ludzi. Jeśli konserwatywna opinja publiczna powstaje przeciw akcjom, o których zdrożności przekonana jest, które jednak bądź co bądź kierowane bywają jakąś ideową motywacją — to tembardziej chyba opinja ta powołaną i zgoła zobowiązaną jest, za taką jak ta szkodliwą nad wyraz działalność, nb. bez cienia ideowych pobudek, bez sumienia i bez żenady,—zareagować energicznie i skutecznie.

Skutecznie! W tem sęk. Sprawa poważna: powinniśmy się nad nią poważnie zamyśleć. Bo i o samą rzecz idzie i o rzecz dalszą: czy nasza inteligencka społeczność jest tak dalece rozchwiana, aby niezdolna byłaj przytłumnić czegoś, co wkońcu wszyscy, bez różnicy poglądów, byle przyzwoici, uznać muszą na jawnie szkodliwe.

Wyobrażam sobie, konkretnie licząc, iż solidni i autorytatywni dziennikarze powinni swemu koledze wyperswadować, że mu taką zabawą bawić się nie wypada. Jeśli go to nie przekona — to co dalej? Ale czyż niema sankcyj towarzyskich? W każdym razie taka decyzja opinji — ta już i sarka — od góry musi iść, od autorytetów, od ludzi z wyrobioną pozycją. Propaganda od dołu, na czytelników, nie pomoże nic, owszem pomoże jako reklama tamtej stronie. Przecież jest już specjalnie wychowane, specjalne „kurjerkowe społeczeństwo". Z Krakowa taka reakcja nie wyjdzie. Ten, któryby był powołany do tego, Narodowy Związek Dziennikarzy, jakoś rozchwiał się i ostatnie jego niedobitki weszły do Syndykatu, gdzie większość mają ludzie Pałacu Prasy, a berło dzierży pan dr. Flach, człowiek górnych w onym pałacu ambicyj, *species* tamecznego „dyrektora protokułu".

Pozatem, mogliby nad „Tajnym Detektywem" zamyśleć się i sędziowie sądów, przed którymi ostatnio tak często w obronie czci swojej wydawca jego stawa.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

FENOMENOLOGJA W KRYTYCE LITERACKIEJ

Od LAT KILKUNASTU zajmuje myśl ludzką fenomenologja. Zanika panujący do niedawna psychologizm, który, po upadku niegdyś idealizmu, był ostatnim okopem dążności, niezwiązanych wprost z panującym poglądem przyrodniczym. Ale i do niego zastosowano metodę doświadczalną, by drogą rozbicia zjawisk psychologicznych na stany elementarne i ujęcia tych zjawisk w pewne prawa, zubożyć bujny, swoisty, nieokiełznany świat psychiczny do ostateczności.

Wszelkie duchowe istnienie zacieśniono do przyrodniczej rzeczywistości i do danych zmysłowych, uznając za stany psychiczne konkretny obraz świata zewnętrznego, a prawa kojarzenia psychicznego poczytując za namiastki praw mechanicznych. Teorję psychologji tak pojętej zastosowano do logiki, etyki i estetyki. Fenomenologja głosi przeciwnie, że istnieje, poza przyrodniczym rodzajem doświadczenia, czyli spostrzeżeniem zewnętrznem lub wewnętrznem, inne, w którem spostrzegany przedmiot występuje niejako sam. Istnieją przedmioty różne od przedmiotów realnych, co pociąga za sobą istnienie osobnej grupy nauk.

W nich obowiązują nie geneza ani przyczynowość, ale bezpośrednie doświadczenie, które żąda bezpośrednich danych i ich opisu. Owe dane nie dadzą się sprowadzić do elementów, a suma tych elementów nie jest identyczną z prostą postacią całości przedmiotu. Współistnienie elementów stwarza coś, co musi być ujęte szczególnie w sposobie, w jaki elementy są w przedmiocie zawarte. Fenomenolog zdąża do tego właśnie, poszukując, za Bergsonem, jakby swoistego *„quale"*, a nie przyrodniczego *„quantum"*.

Pole swej pracy widzi w apriorycznem poznaniu istoty przedmiotu. Opracowuje naprzód, jak Husserl, logikę wolną od psychologizmu, głosząc, że jeżeli przedmiotem doświadczenia przyrodniczego są przedmioty i procesy realne, jako bytujące w czasie i w przestrzeni, to istnieją też idealne a niezmienne, gdzie stosunki oznaczone są tylko przez ich jakości. Ich aprioryczne poznanie dokonywa się w jednym, organizującym właśnie owo *„quale"* akcie. W każdej nauce może istnieć aprioryczna teorja o jej przedmiotach i związkach. Postawa fenomenologiczna bada wogóle sferę czystej świadomości, odrzucając przelotne przeżycia i zmienne wyglądy. Interesuje się jej zasadniczą strukturą, dążąc do analizy zasadniczych jej warstw. Odkrywa odrębną sferę bytu, zmierzając do opracowania własnej teorji poznania. Z tego stanowiska Geiger opracował teorję doznań estetycznych, Pfänder woli i usposobień, Reinach prawodawstwa, Leyendecker złudzeń, Scheler etyki, Łempicki językoznawstwa, Ingarden analizy literackiej.

Wszyscy oni oddzielają to, co jest dane, od tego, co jest skonstruowane. Uznają, że są idealne przedmioty, a metodą badań jest intuicja, ujmująca ich różnorodność i swoistość. Badają istoty a nie konkretne ich zjawiska. Posługują się metodą dystynkcji, rozróżniając istoty i wydzielając typy istot, znaczeń, treści, przedmiotów, aktów, bytów. Dystynkcje są celem same przez się. Po stwierdzeniu istot, stwierdza się związki między niemi, a więc między przedmiotami, między aktami, między przedmiotem i aktem.

Jeżeli zatem psychologja była nauka o faktach i rzeczywistości, postawa fenomenologiczna prowadzi do nauki o istotach, czyli do — ontologji. Staje się ona wstępem do nauk humanistycznych w ich założeniach i dążeniach metodologicznych, jak to niedawno wykazał Suchodolski. Jeżeli koncepcja Diltheya była jeszcze psychologistyczna i wyrażała się znanym i przed wojną schematem przeżywania, wyrażania, rozumienia czyli odtwórczego przeżywania, to Simmel wskazywał już na zasadniczą różnicę w warunkach i procesie rozumienia znaczeń i osób, a Rickert, poza zjawiskami fizycznemi i psychicznemi, wyróżnił zjawiska, nie będące sprawą ani świata fizycznego, ani psychicznego, ale idealnego, którego elementy mogą być tylko rozumiane, a nie dostrzegane.

Więc zjawiska artystyczne mają swój sens, nie znikający bez reszty w podmiotowych aktuali-

zacjach przeżyć estetycznych. I oto zagadnieniem dzieła literackiego zajął się dziś Ermatinger, ujmując je w przeżyciu myślowem, tematowem, formalnem, wreszcie w formie wewnętrznej i zewnętrznej, oraz Polak i docent lwowskiej wszechnicy, Ingarden. Od psychologizmu, co rozważa duchowe zjawiska w ich stosunku do przeżywającej je jednostki, przeszedł do fenomenologizmu jako nauki o zjawiskach duchowych w ich niezależności.

Zastanowił się zatem[1]), jak to wykazał już niedawno Łempicki, który badał — z tego stanowiska — językoznawstwo i poetykę, nad zapytaniem, czy dzieło literackie jest przedmiotem realnym czy idealnym. Obejrzał jego budowę, wskazując na jego wielowarstwowość. Zaczem wskazał na warstwę tworów głosowych, warstwę znaczeniową, warstwę przedstawionych przedmiotowości, warstwę uschematyzowanych poglądów, czyli zespołu w ujęciu dzieła jako całości. Wnikliwe uwagi poświęcił zwłaszcza drugiej, co odnosi się do związków, zawartych w zdaniach, których celem jest przedstawienie pewnych treści lub sensów.

Nie uszły jego uwagi metafizyczna wartość i symbolizacyjna funkcja przedmiotowej warstwy dzieła. Zajął się wzajemnym do siebie stosunkiem warstw jako wyższych elementów, rozważył całość dzieła w jego tożsamości, w przeżyciach różnych podmiotów i w konkretyzacji w psychikach jednostkowych, choć podstawa realizacji jest ta sama. Porównano jego dzieło z dziełem anatoma a także fizjologa.

Przeważa dziś wogóle pogląd, że dzieło jest tworem energji, przybierającej w każdej jednostce różną strukturę. Jeżeli typy jednostkowe są pewnemi formami układów psychicznych, to dzieła ich posiadają fizjognomję uwarunkowaną ich strukturą. Nie trzeba patrzeć na dzieło, jako na układ znaków, ale jako na wewnętrzną konieczność — psychicznej struktury.

Przy zetknięciu struktury dzieła i struktury doznającego, stosunek sił rozstrzyga o realizacji dzieła w otoczeniu. Krytyka literacka musi nie ograniczać się do genezy, do oglądu, do opisu, ale ukazać dzieło w jego swoistej strukturze, w nierozkładalnej twórczości i nowości.

Przykłady takiej krytyki są coraz częstsze w badaniach u nas Kleinera, Suchodolskiego, Adamczewskiego, a na czoło teoretyków kierunku wysuwa się dziś, poza schelerjaninem Kołaczkowskim i zwolennikiem nowego kierunku Łempickim, właśnie Ingarden.

TADEUSZ GRABOWSKI

[1]) Roman Ingarden: *„Das literarische Kunstwerk"*. Halle (Saale) 1929, stron X i 389.

W 30-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI DYGASIŃSKIEGO

(UR. 7.III 1839 — ZM. 3.VI 1902)

DYGASIŃSKI WŚRÓD ZWIERZĄT I PTAKÓW

(Parę wspomnień)

BOGATA JEST galerja zwierząt i wszelakiego ptastwa, wprowadzona do beletrystyki przez mego ojca. Zwierzęta i ptaki, jak wogóle różne twory przyrody, ojciec mój nietylko opisywał, ale i obserwował, podglądał niejako „życie i zabawy". Tak samo, jak chodził po jarmarkach małych miasteczek i chwytał okiem i uchem, zapisując w swej pamięci sceny i typy ludzkie, podobnież czynił spostrzeżenia nad fauną a nawet i florą, wogóle nad przyrodą ożywioną.

Ojciec mój chował ptastwo bardzo wcześnie. Mając lat 27, jeszcze przed ślubem, przechowywał w r. 1866 przez zimę stado ptaków krajowych, łowionych głównie podczas jesieni, kiedy odbywają się ich ciągi. Były to zięby, szczygły, czyże, dzwońce, gile, trznadle, dzierlatki, sikory. Przez dobroć swego serca dał im opiekę podczas zimy. Ale w ciągu tego czasu obserwował ich zwyczaje. Zebrał podobno moc spostrzeżeń, które zużytkował w swoich pismach, a także nieraz o tem opowiadał. Pewnego pogodnego dnia w początkach kwietnia otworzył okno i wypuścił całą gromadkę, liczącą sztuk przeszło sześćdziesiąt. Prawdziwa ptaszarnia! Wyleciały do ogrodu i oprócz dzierlatek wszystkie osiadły na jednem drzewie w pobliżu okna. Zachowanie się ich było rozmaite, niezmiernie ciekawe. Gdy wreszcie ojciec postawił na gzymsie okna kilka pudełek z żywnością, z których jadały przez zimę, cała ta rzesza ptasia z wielkim gwarem opadła na okno.

W wiele lat później ojciec, przebywając w Szczawinie nad Narwią u państwa Glinków, chował przez dłuższy czas dużą ilość ptaków, do czego miał specjalny pokój, dzięki uprzejmości pani domu. Przed paru laty opowiadała mi pani Glinczyna o tych osobliwych zwyczajach mego ojca, który w pokoju, gdzie były poustawiane świerki i sosny, chował sporą rzeszę ptaków, obserwując ich zwyczaje.

Przez zimę przechowywał ojciec i w Warszawie szczygła, czyżyka i gila, które to ptaszki wynieśliśmy z wiosną do ogrodu pomologicznego. W mieście miał ojciec z hodowlą ptaków spore trudności, gdyż ptaki trzeba było trzymać w klatce, a znów nie rozporządzaliśmy tak obszernem mieszkaniem, aby ptaki żyły sobie swobodnie, nie czyniąc zbyt wielkiego kłopotu i nieporządku.

Na wczesną wiosnę, gdy natura zaledwie budzić się zaczyna do życia i jeszcze nieliczne głosy ptasząt odzywają się wśród pustych ugorów, ojciec mój lubił wychodzić w pole i łudząco umiał naśladować głosy różnych ptaków — kaczorów, derkaczy i wiele innych, które natychmiast odzywały się zdaleka, słysząc to wabienie.

Mieszkając w Warszawie, często przynosił znalezione wieczorem na ulicy jakieś zbiedzone zwierzątko, psa lub kota. Taki przybłęda przebywał czas jakiś w domu moich rodziców, dłużej lub krócej. Zależało to od wyrozumiałości służącej, a być może i od włóczęgowskich narowów takiego przygodnego lokatora. Pamiętam, że jeden z takich psów, którego nazwaliśmy Dyndą, mieszana wyżlica, w cią-

głym była ruchu, wesoła, miła i pogodnego usposobienia. Dość długo u nas przebywała i pozostawiła po sobie długotrwałe wspomnienie oraz żal, że jednak nas porzuciła. A pełen fantazji i figlarności „As“, uwikłany w tyle przeróżnych życiowych dramatów i przygód, był przecie postacią z życia wziętą. Ten As żył na świecie, jest prawdziwy, nie wymyślony, a jego dole i niedole, opisane przez mego ojca, przejmują czytelnika, interesują żywo i każą mu serdecznie współczuć. Albo inny znów psi bohater, mniej od Asa szczęśliwy Kwiatek, staczający się coraz niżej po szczeblach drabiny społecznej, którego losy pobudzają do — refleksji. Psy przepadały za ojcem. Przebywając przez czas dłuższy w Massalanach, majątku państwa Bispingów, ojciec miał pod swą obserwacją kilkanaście psów, które się doń przywiązały ogromnie, a każdy spełniał poruczone sobie tylko czynności. Gdy pewnego razu przyjechałam do ojca w odwiedziny, psy jakby przeczuły jakiś związek mój z ojcem, bo i w stosunku do mnie wykonywały poruczone sobie czynności.

W Szczawinie, majątku pp. Glinków, chował ojciec i wilka i oswoił go zupełnie. Ale niestety los jego zakończył się tragicznie. Zginął za to, że był głodny. Nieposkromiony, niepodległy buntownik zginął w niewoli, bo był głodny! Co za paradoks! „Szczęśliwa Anglja, wytępiła wilki! — pisał mój ojciec. Jakże dużo musieli tam zyskać ludzie! Jeżeli chcecie wiedzieć, czytajcie opisy irlandzkiej nędzy. Bardzo być może, że wskutek tego wytępienia jedni potłuścieli, zjadając część wilczą wołowiny i baraniny; ale iluż pochudło! Pocóż trzymać pasterzy, kiedy wilków niema? Z chwilą, gdy w romantycznych górach Szkocji ustało wycie ostatniego wilka, rozpoczęły się płacze w rodzinach ludzkich. Nikt nas nie przekona, że ekonomja, zaprowodzona przez przyrodę jest zła i że człowiek może bezkarnie niszczyć jej podstawy do samego gruntu... Ilekroć razy człowiek zrobił coś dobrego i mądrego, to zawsze tylko przez należyte wysłuchanie przyrody i przez posłuszeństwo jej głosowi“.

Chował ojciec i lisa, jest to znany Pompa, którego żywot opisał w nowelce pod tytułem „Lis“. Biedaczysko oczerniony przez ludzi i przez nich podstępnie niemal zamordowany, aby można było zdobyć piękne jego futro, ku czemu zdarzyła się okazja nieobecności wychowawcy i opiekuna, którym był mój ojciec. W listach do mnie ojciec niejednokrotnie wspominał Pompę i dzielił się ze mną szczegółami swych obserwacyj oraz postępów, jakie Pompa czynił.

A przemiłe szaraki, wiele razy przez ojca opisywane, chował je przecie i obserwował ich obyczaje.

Przez pewien czas chodził ojciec na polowania, przytem poznawał naturę i obyczaje zwierzyny. Strzelał niewiele, ale ostatecznie zaniechał polowań, płynęło to zapewne nie z czułostkowości, ale z prostego altruizmu. Oburzało go do żywego męczenie zwierząt. Napisał w tej sprawie szereg artykułów. W obronie męczonych w nieludzki sposób koni przeprowadził całą kampanję, drukując parę broszur i piętnując w ostry sposób postępowanie ludzi. Zwiedzał szlachtuzy i w słowach pełnych oburzenia odmalował te wielkomiejskie miejsca zgrozy. W imię humanizmu domagał się reform. „Kto chce poznać nagą prawdę“—pisał—„zobaczyć dzikość ludzkiej duszy, powinien tam iść i patrzeć, choć go ogarnie wstręt i oburzenie... człowiek umie się znakomicie pastwić nad bezbronnym... Gdy człowiek nie ociera się o cierpiącego bliźniego... czy można zakładać instytucje prawdziwej przyjaźni, patrjotyzmu, miłości płci dla płci?... Machiny takie będą odrabiały swoje po kupiecku. Następstwem najbliższem takiego stanu jest podstawienie form za rzeczy“...

Gdy był w Brazylji, oczywiście odurzyła go tamtejsza przebogata fauna i flora, starał się z nią zapoznać. Zaraz zwrócił uwagę na zwierzęta, ptastwo i rośliny brazylijskie. Pisze o nich nietylko w listach, ale poświęca im sporo uwagi i w utworach beletrystycznych, osnutych na tle wyprawy brazylijskiej. Wracając do Polski, zabrał z sobą dwie przemiłe małpeczki — ale jedno biedactwo nie zniosło podróży morskiej, drugą zaś ofiarował ogrodowi Zoologicznemu w Hamburgu, bo się obawiał, że nie przetrzyma naszego klimatu.

Ojciec mój nie tylko pisał powieści z życia zwierząt i ptaków, ale chował je, obserwował w stanie natury. U dziadków moich ojciec całemi godzinami przyglądał się życiu ptastwa podwórzowego, obserwował psy, koty. Tak powstały „Podwórzowe dramata“.

Są jednak stworzenia, których nawet ojciec mój nie lubił, mianowicie muchy. Były one jego plagą, zawsze siadały na niewielkiej, lekko przerzedzonej, łysince i dokuczały, dokuczały dotąd, aż zniecierpliwiony łapał je i z całą pasją topił lub wrzucał do ognia. To też zemścił się na tym rodzie skrzydlatym, opisując różne ich figle, psoty, a nawet krzywdy, wyrządzane ludziom, w noweli p. t. „Muchy“. Uczynił z nich symbol szkodliwości, wstrętu i okrucieństwa, wypowiedział śmiertelną walkę przeciw tym owadom-pasorzytom, przytaczając niebezpieczeństwa, wypływające z ukąszeń much wszelakiego rodzaju, a jest ich bardzo wiele i noszą trudne do spamiętania nazwy łacińskie. One to są istną plagą ludzkości!

I tak wśród niezliczonych ilości czworonogów, ptaków — przemykał się z lekkością i humorem, niekiedy z filozoficznemi refleksjami, a zawsze pogodny, pobłażliwy, z dobrotliwym uśmiechem człowieka, który wszystko przebaczał, bo wiele rozumiał.

Z jakąż swobodą, radością i rozkoszą obraca się wśród tego mnóstwa ptaków, jakże zbożnie brzmi jego radosna pieśń życia, choć bynajmniej życie samo nie upływało mu na różach. Kochał życie, kochał świat dzieci, ludzi i wszelakie stworzenia, to też i one odwzajemniały mu się serdecznie.

Czy to nazwiemy zbiegiem okoliczności, czy przypadkiem, czy też zrządzeniem Opatrzności, w każdym razie było to zadziwiające i jedyne w swoim rodzaju.

W dzień zgonu w dniu 3 czerwca roku 1902, jak też i w dzień pogrzebu pogoda była prześliczna; upał i słońce. Nad trumną odśpiewano pieśni, wypowiedziano pożegnalne mowy, poczem zaległa cisza, zanim jeszcze grabarze ujęli za łopaty, aby trumnę ziemią przysypać. Cisza ta trwała zaledwie sekundę, tak, jakby oczekiwano jeszcze czegoś i nagle, wśród tej ciszy, rozległ się głos solowy ptaszęcy, pięknie choć niedługo zaśpiewał nad mogiłą, żegnając ziemskie szczątki swego „piewcy“ i prawdziwego przyjaciela. Do dnia dzisiejszego, choć to już 30 lat dobiega, zapamiętałam sobie teś pśiew i zastanawia mnie on niezmiernie, echem ser

decznem odbijając się w mojej piersi. Jednocześnie zapytuję, czy nie pięknie to było i czyż drużyna ptasia nie powinna była, tak jak to miało miejsce, delegować swego przedstawiciela, który usiadł na drzewie nad mogiłą i zanucił ostatnią, pożegnalną pieśń na grobie przyjaciela. Niestety, drzewo to obecnie też już zostało ścięte.

ZOFJA DYGASIŃSKA-WOLERTOWA

IGRASZKI LITERACKIE DYGASIŃSKIEGO

Dygasiński — to syn ziemi kieleckiej, urodzony w Niegosławicach, na Ponidziu, w pobliżu Skalbmierza i Działoszyc. Dalej na północ leży Pińczów i Jędrzejów, potem Chmielnik i stolica okręgu — Kielce, miasto ukochane. Któż nie kocha Kielc, gdzież jest taki Polak, który — raz zobaczywszy Kielce — nie wraca do nich myślą pamiętliwą, podobnie jak do Pińczowa, lub Jędrzejowa, a są to mieściny jedyne na świecie? To też i w Dygasińskim nic nie zatarło w pamięci czasów kieleckich. Nawet znojny trud pełnego gorzkich doświadczeń żywota. Zawsze rad wracał wspomnieniem do tych chwil, które spędzał w szkole realnej kieleckiej! Czasy szkolne, niezapomniane czasy młodości, pełne uroku, czasy wielkich zawodów i wielkich nadziei, kiedy to każdy z nas prawie był Farysem!... Im dalej od nich jesteśmy, coraz częściej wspominamy je z pewnem rozrzewnieniem. Wzrusza nas zawsze wspomnienie dawno minionej młodości, kiedy to porywaliśmy się na podbój świata.

Na trzy lata przed śmiercią spisał Dygasiński swe uwagi i wspomnienia o czasach szkolnych i książeczkę pod tytułem „W Kielcach“ ofiarował profesorom i kolegom Kielczanom.

„Cześć popiołom, cześć starcom!“ — zaczął swe wspomnienia taką inwokacją. — Pracowali z wiarą i doznali zawodu, jak ludzie rzetelni; ale genjusz ludzkości po tych torach właśnie prowadzi dzieci swoje: każe im wierzyć, aby poznały wartość wątpienia. Z grona jakich trzydziestu, dziesiąty mąż zapewne nie ocalał. A ta młodzież, uczniowie, wychowańcy, których umysły oni zapładniali z zapałem swemi wyobrażej niami?... O, losy dziwnie rozrzuciły po świecie szerokim rój dziatwy wesołej, zgiełkliwej — młodzieńców dziarskich, pełnych życia i — wiary w życie! Wichura zmiotła przedwcześnie połowę zastępu, zwaliła ich na pniu tak, jak burza gradowa zwala plon kłosów zielonych. Inni żyją, a jakby nie żyli, bo — gdzieś tam daleko, daleko... Ha, czas dziejowy przeskoczył rączo przez nauczycieli i uczniów... Jeszcze kilka lat, a na ziemi tylko groby będą z tamtych ludzi...“

I odmalował Dygasiński w swem opowiadaniu nauczycieli i uczniów, wyczarował atmosferę szkoły kieleckiej z połowy ubiegłego stulecia. Któryż z Kielczan nie zna tej przemiłej książeczki? Któryż nie czytał jej po wielokroć razy?

Piękny, wzruszający dokument pamięci kochającej... Ale nie jedyny.

Przyjaciołom swym i Kielczanom, z którymi w zażyłszych pozostawał stosunkach, poświęcił Dygasiński drugi dowód pamięci, opisując ich w formie igraszki literackiej w innym utworze, któremu nadał tytuł „Gwałt na Turka, w Kielcach uczyniony, i Bóg co wie co za przygody poczciwych rycerskich ludzi“. Utwór, napisany w r. 1895, przeznaczony był do wydrukowania w ograniczonej liczbie egzemplarzy. Na okładce manuskryptu widnieje obcą ręką napisana uwaga: około 7 arkuszy, po 16 florenów za arkusz, 25 egzemplarzy, drukarnia Anczyca, papier czerpany, korekta Gurowski. Dlaczego utwór nie został wydrukowany, nie wiadomo. Może zbrakło funduszu przyjaciołom?

Rok przedtem wyszła w Krakowie „nakładem współpijaków“ inna igraszka literacka Dygasińskiego „Opis imprezy wojennej Imć Pana Alberta Milicerego, konsula, *alias* burmistrza biskupiego miasta Bodzantyna, *contra insolentiam* tyraniej króla szwedzkiego Karla Gostausa“. Mistyfikacja była zręczna, książka wyglądem zewnętrznym, tytułem, językiem utworu sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie druku z XVII wieku, to też urzędnik Bibjoteki Jagiellońskiej pomieścił książkę w dziale historji polskiej.

Tematem utworu były zabawy biesiadne najbliższych przyjaciół Dygasińskiego, występujących pod przybranemi lub nieco zmienionemi nazwiskami. A więc oprócz bohatera tytułowego, słynnego chemika Napoleona Milicera, są tam: Antoni Sygietyński, Stanisław Mieczyński, Piotr Chmielowski, Herman Benni, Artur Gruszecki, słynny facecjonista Olendzki i paru innych, mniej lub więcej zbliżonych do braci literackiej. Pewna grupa osób, wymienionych w „Imprezie“, tworzyła pod przewodem ks. Zygmunta Chełmickiego ścisłe koło t. zw. *Collegium* księcia Walji. Była to cyganerja literacka okresu pozywistycznego. A w „Imprezie“ opisane są w sposób frywolny językiem siedemnastego wieku igraszki tych cyganów. Jest to utwór prawie wcale nieznany, gdyż był drukowany w 25 egzemplarzach, rozdanych między przyjaciół, nadto istnieje kilka egzemplarzy bibljotecznych. Krążyły o nim tylko głuche wieści. W miarę wymierania uczestników „Imprezy“ oraz wskutek niszczenia księgozbiorów prywatnych przez zawieruchę wojenną, na rynku antykwarskim pojawiały się egzemplarze, wyłapane przez bibljofilów. W dalszym jednak ciągu jest prawdziwym białym krukiem ten utwór, co do którego Piotr Chmielowski suponował, iż w sposób alegoryczny przedstawia igraszki kompanów, do których wątku dostarczyć mogły poniektóre perypetje czasów powstaniowych.

„Impreza“ — to cyganerja warszawska. *Pendent* do niej stanowi cyganerja kielecka czyli „Gwałt na Turka“. Ta zaś pozostaje w manuskrypcie.

Występuje w niej pan Skłodowski, jeden ze stryjów Curie-Skłodowskiej, Bronikowski, Józef Dunin, brat lekarza i słynnego prawnika, sam adwokat w Kielcach, przemiły człowiek, ogromnej wartości, zasłużony na niwie społecznej, od lat zmożony ciężką chorobą. Dygasiński charakteryzuje go tak: „chuderlawy w sobie, miły na twarzy i na wszystkiem, a poczciwy, jakby ślub brał z cnotą, co jest wielmi rzadkie w tych czasach ślizkich i sękowatych“... Wogóle palestra kielecka jest szczodrze reprezentowana. Mamy bowiem i p. Burdzyńskiego, znanego adwokata kieleckiego, pp. Halika i Kabla, rejentów. Co do Kahla, taką oto komponuje Dygasiński anegdotkę: „Raz na jakimś bankiecie był pan Bal. Każdziutki wie, że Balowie senatorska rodzina. Mówią tedy kompany do Cala (Niemiaszkowie „Cala“ wymówić nie zdoławszy, na Kala go przechrzcili): „Pokłoń mu się, pan hojny, przyjść ci może co z tego, gdy mu w oko wpadniesz!“ — „Co mi Bal? Jestem Cal!“ Kiedy się pan Bal o tem dowiedział, bo takiemu wszystko doniosą, ruszył też konceptem: „Weź pierwszego z moich Bali! Policz, ile w każdym Cali! „Cal się odrazu odciął: „Choć Bal gruby, próchnem świeci. Z próchnem pójdzie między śmieci. A Cal Calem zawsze, wszędzie, — jak był, tak jest i tak będzie“.

Wśród licznych osób „Gwałtu na Turka“ mamy i Kujawskiego, ojca Kaz. Kujawskiego, dyrek-

tora szkoły Mazowieckiej; Feliksa Rybarskiego, którego syn, Antoni, jest profesorem historji na Wolnej Wszechnicy; Siennickiego, red. „Gazety Kieleckiej"; Świerczewskiego, plenipotenta Wielopolskich w Chrobrzu, jest on bodaj stryjem Eugenjusza Świerczewskiego, znanego teatromana i teatrologa. Występuje tu i wuj żony Dygasińskiego, a jest nim Stanisław Truskolaski, teść siostry Witolda Jodki, znanego przywódcy PPS.

Każdy ma konterfekt frywolnie odrysowany. Redaktor Siennicki znany był z tego, że nigdy nie mógł się wyplątać z sieci Amora. I o nim pisze Dygasiński: „mógł być wielmi przydatny w rycerskiej imprezie, byle go niewiastka jaka z drogi statecznych powinności gdzie na bok nie sprowadziła. Ginął, przepadał za kształtowną, pieszczoną, wdzięczną i subtelną płcią gładką".

A jakże pysznie, plastycznie odmalował swego szwagra! I jak dziś jest aktualne to, co pisze o Konstantym Wyszkowskim, który urasta do znaczenia jakiegoś symbolu:

„Mój szwagier, pan Wyszkowski, ciekawy był po powrocie, azali otwarłszy gwoździami zabite drzwi domu, boskiej opiece poruczonego (Gospodaruj Panie Boże, bo Wyszkowski już nie może), najdzie tam cobądź przybytku. Ubogi szlachciura koniecznie chciał był swoją mizerję jaką wspaniałością przychędożyć, a coś nie mógł się doczekać żadnego słusznego żniwa. Do szpiku kości doili go lichwiarze, osiadłszy na nim, jako łakome ślepy na końskim karku, krew i pot wypijali z człowieka, czekając rychło mu wydrą duszę. Chudzina, cichy dłużnik, mydlił, świdrzył, jak mógł, wymyśliwał różne fortele, figle, nadrabiał u prokuratora, u sędziego, zapytując i różne znaczne ludzie: „Jeżeli Waszmość Panowie nie postanowicie w Kielcach mądrego prawa, jak *lex Licinia* w dawnym Rzymie, abym ja opłaconymi już latunkami spłatę długu Mośkowi uczynił?".

„Żył jak niedoperz, nocą tylko z domu wyłażąc, aż go w końcu jęła chuć gabać, aby któregobądź dnia zbiedz między Niżowe Kozaki, abo na Multany do hajduków przystać. Bo co miał robić? Życie się uprzykrzy człeku, kiedy w tajstrze niema złamanego szeląga. jedno — cyrografy same, monimenta i pozwy! Srodze trapili Wyszkowskiego Icki, Zyśle i inni judaszowie, tak z przyrodzenia jak z nieochrzczonej wiary przeciwni polskiemu narodowi. Brońże się, miły szwagrze, i nie upadaj, jak nie upada ta nasza pszeniczna ziemia, choć wżdy opłaca niemałe latunki w dziesięcinach, poborach, czynszach! Polak acz w nędzy, i tak winien służyć swojej ziemi..."

W takich oto uciesznych pogwarkach, wystawiając przyjaciołom swoim krotofilne konterfekta, rzucał Dygasiński w pół żartu swywolnego ziarno głębokiej mądrości. Posłuchajmy: „...wiadomo, że *fortuna belli-anceps*, miasto tryumfów i zwycięstw, hańbę częściuchno daje; uciszone zasię morze świętego pokoju nieba pogodę w sobie odbija. Antonius Pius, nad wojnę pokój przekładając, mówił; „Wolę jednego obywatela zachować, niż stu nieprzyjaciół zabić". I prawda; wżdy latorośl przy ogniu usycha. „Niech innym narodom żelazo będzie ochroną — są słowa pana Józefa Dunina — dla nas *consilium sanum — vita patriae*". Archimedes zapytany razu jednego, ktoby był rządcą miasta spartańskiego, odrzekł: „Prawa!" — I Kielce bardziej niż cudnie podobne były do onego spartańskiego grodu, iż mnogich miały juris-konsultów. Prawa same jedne są jak pajęczyna, bąk się przewinie, a na muchę wina. Cóż prawa wskórają, gdy w narodzie brakuje ludzi uważnych i odważnych, to jest cnotliwych i mądrych? A jeżeliż mądrość, cnota nie ze szkół pochodzą? Czego wojska dokazać nie mogą, tego mądre, w naukach ćwiczone głowy bez krwi rozlewu, bez szkody i ruiny w miastach dokazują. Jedno naprzód trzeba się starać, żeby były dzieci; i na chuci k'temu nie zbywało Kielczanom, nie mówiąc o takich, którzy, na boku sobie wdzięczną niwę upatrzywszy, zasiewki rodu swego czynili. Ale ani prawa, ani mądrzy a cnotliwi ludzie, ani dostatek dzieci, ani szkoły nic nie pomogą, gdy ludzie nie mają dobrych sposobów wyżywienia siebie i swego płodu".

Zdaje się, że to dziś, a to było pisane trzydzieści siedem lat temu. Ileż głębokiej mądrości w tych pozornie frywolnych słowach!

Dygasiński — *redivivus*. I słusznie. Jest on bowiem jednym z najbardziej nowoczesnych autorów, i będzie nim zawsze dla każdego pokolenia. Bo w jegu uśmiechu, pełnym zrozumienia, kryje się głęboka ludzka mądrość, płynąca z instynktu narodu.

WŁADYSŁAW WOLERT

GWAŁT NA TURKA, W KIELCACH UCZYNIONY, I BÓG WIE CO ZA PRZYGODY POCZCIWYCH RYCERSKICH LUDZI

PRZEDMOWA

W imię Pańskie, amen! Niech Bóg w dekretach swoich po wszystkie czasy błogosławi Waszmościom Panom, miłościwej braci mojej! Nie przeto wypuszczam w świat to *opus* swoje mizerne, iżbym rozsławić łaknął nicowany łachman własnej próżności, w czarnym kałamarzu poszukując chwały; jedno, że pragnę ocalić od niepamięci potomnych godnych pamięci imiona współcześników, *cordialiter* spowinowaconych ze mną braterstwem. Niezapisane bowiem czyny rodzaju ludzkiego są istne dzbany bez trunku, abo—lepiej mówiąc—ciała bez duszy: byt ich znikomy, cale śmiertelny, do cna przemija i do cna z ludzkiej pamięci ginie. A iż Przejrzenie boskie wedle rejestru Swego chędogo przyozdobiło cnotą Waszmościów Panów braci, równie jak mądrem na wsze rzeczy baczeniem i osobnemi naukami, co Wam każdy bez najmniejszego pochlebstwa przyczyść może; zatem ja, człowiek prosty, wedle możności sił swoich, których słabość przyznaję, w tej zabawce pióra świadectwo prawdzie dawam i kuszę się nadobnym czynom Waszym przez pismo nadać on żywot, o którym powyżej napomniałem. Czując zgoła, że jestem bliski łoża wiecznego spoczynku i kromia tej historyej nie zostawię po sobie przyjaciołom innej pamiątki, namdlony już i naderwany pracą, — bom przeżył życie jako flis albo hajduk, cudze kąty pocierając — *in arte scribendi* bolącym bokom daję odpoczynienie, a dufam sobie, że owoc tego usiłowania złożę na podołku ludzi z sercem niezaziębłem. To tylko zasię mój lęk i niemiarny frasunek czyni, że, acz nieobłudnego serca umiłownik Waszmościów Panów braci, lichem swojem *ingenio* nie podołam fortunnie onemu zadaniu, a to *opusculum* okaże się wielmi podlejsze od polerownego brantu Waszej cnoty, od zacnie przystojnych Waszych uczynków; i *vanus labor calami* nie będzie godną ofiarą przyjaciela ludzi bogatych cnotą jako też użytecznemi wiadomościami. Zdawać się to może, jakoby kto własne błoto z cudzem złotem mieszał. *Quidquid est*, chociaż ja i mistrz nie potemu, szukam ulgi w pocieszeniu i doufaniu, że wspaniałomyślność Waszmość Panów braci nie poczyta mi za ciężki grzech pychy tego propozytu czyli przedsięwzięcia, ale to zapisze na karbach swojej łaskawości.

Studiosus admirator et sincerus amicus W. Panów braci

Data z Chrzanówki na Podolu.
W dzień zesłania Ducha Św.
na Apostołów. 1695 r.

ADOLF DYGASIŃSKI

NA WIDOWNI

„Sanacja“ w ornacie w obronie chałata — Niedokładna znajomość doktryny katolickiej — O czem uczy przeszłość — Ciężka służba.

COKOLWIEK możnaby rzec o „Gazecie Polskiej“, naczelny organ obozu sanacyjnego nigdy dotychczas nie okazywał skłonności do opierania swych poglądów i ocen moralnych w dziedzinie polityki na kryterjach, jakiemi w tym zakresie nakazuje posługiwać się Ewangelja i nauka Kościoła. Jeśli jaki ideał etyczny głoszony był ze szpalt oficjalnego dziennika, to był nim bezapelacyjny kult „mocnego człowieka“ o „twardej ręce“, nie znającego skrupułów sumienia, rozumiejącego, że życie nie jest sielanką, nie wahającego się przed krzywdą niczyją, nawet przed złamaniem prawa, skoro chodzi o osiągnięcie celów „państwowych“. „Ideologja państwowa“ podniesiona tam była do rangi absolutu, rozgrzeszającego wszelki postępek, chociażby najbardziej sprzeczny z wymogami religijnego i moralnego poczucia narodu.

Aż oto, nagle, Ewangelja błyska w ręku publicysty „Gazety Polskiej“. Hasło „moralności chrześcijańskiej w życiu państwowem“ wydobyto najniespodziewaniej — ku obronie żydów. Nie pamiętał o niem organ p. W. Stpiczyńskiego, gdy na wieść o zaginięciu gen. Zagórskiego wykrzykiwał radośnie: „o jednego nikczemnika mniej!“; nie pamiętali pp. Miedziński i towarzysze, gdy wychwalali użycie „środków surowych i bezwzględnych“ w stosunku do więźniów brzeskich. Przypomnieli sobie natychmiast, kiedy spór powstał o zasadę utrzymania pełni praw politycznych dla żydów w państwie, nie palestyńskiem przecież, ale polskiem. Jakże pouczające bywa studjowanie sumienia sanacyjnego, obserwowanie, gdzie są punkty osobliwszej jego wrażliwości...

Źródłem zgorszenia jest dla „Gazety Polskiej“[1]) uchwała Rady naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej z dn. 16 maja r. b.: „Młodzież Wszechpolska stawia jako zasadę naczelną w stosunku do żydów pozbawienie ich praw politycznych ze wszystkiemi tego konsekwencjami oraz uniemożliwienie im przez odpowiednią zmianę przepisów prawa przenikania w życie indywidualne i zbiorowe, zarówno kulturalne jaki gospodarcze Narodu Polskiego“. Czołowy organ „sanacji“ widzi w zasadzie tej sprzeczność nie do pogodzenia z ideą państwa chrześcijańskiego, przytaczając na poparcie swej tezy słowa pamiętnego „Listu Pasterskiego“ Prymasa Polski z dn. 29 kwietnia r. b.: „Dzielenie obywateli... na obywateli o pełnych prawach i na tolerowanych czy wyjętych z pod prawa, jest przejawem niezdrowym i szkodliwym“.

Otóż łatwo wyrozumieć, że w dzienniku, w którym artykuły wstępne pisuje p. F. Sokołow, znajomość chrześcijańskiej doktryny o państwie nie jest dostatecznie pogłębiona, ale w każdym razie publicysta, wykonywający swój zawód w kraju, tak odwiecznie katolickim jak Polska, powinien był strzec się ujawniania ignorancji tak kompromitującej, jak przypuszczenie, że w państwie chrześcijańskiem obowiązywać musi ustrój skrajnie demokratyczny, wyrosły z zasad Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a oparty na bezwzględnej równości praw politycznych wszystkich, posiadających daną przynależność państwową jednostek. Gdyby teorja „Gazety Polskiej“ została przyjęta, nie byłyby „państwami chrześcijańskiemi“ ani Francja za Świętego Ludwika, ani arcykatolicka Hiszpanja, ani nawet — i to przez cały ciąg swego istnienia — Państwo Kościelne... Atoli nauka Kościoła Katolickiego w tej dziedzinie jest zupełnie wyraźna i określona: w państwie chrześcijańskiem nikt nie może być „wyjęty z pod prawa“, władza musi szanować przyrodzone uprawnienia jednostki, ale kwestja form ustrojowych państwa, kwestja udziału lub nie udziału niektórych grup ludności w stanowieniu praw i wpływaniu na bieg polityki państwowej (np. przez posiadanie biernego i czynnego prawa wyborczego do Izb ustawodawczych, dopuszczenie do uczestnictwa w ogólnych instytucjach samorządu lokalnego czy gospodarczego itd.) jest już tylko — jak to dobitnie stwierdza wspomniany „List Pasterski“ Prymasa Polski — „rzeczą rozwoju dziejowego“, ponieważ Zakon Boży „nie określa... ani ustroju Państwa, ani sposobu przekazywania władzy państwowej“, pozostawiając w tym względzie narodom pełną swobodę dostosowania swoich form politycznych do swoich potrzeb bieżących i do swoich historycznych przeznaczeń [2]). Najogólniej da się chyba tylko powiedzieć, że w myśl zasady sprawiedliwości: *suum cuique*, poszczególne grupy ludności w państwie mogą domagać się praw politycznych w tym tylko stopniu i o tyle, o ile same moralnie związane są z państwem i tą cywilizacją narodową, której państwo dane jest wyobrazicielem i strażnikiem.

Zasada izolacji społeczeństw chrześcijańskich od żydów, uniemożliwienia żydom „przez odpowiednią zmianę przepisów prawa przenikania w życie indywidualne i zbiorowe“ narodów europejskich, głoszona obecnie przez Młodzież Wszechpolską, właśnie przez Kościół Katolicki w ciągu długich wieków zalecana była ludom, jako najlepszy środek zabezpieczenia ich zdrowia duchowego przed rozkładowym wpływem żydostwa. Nie zagłębiając się w dekrety Stolicy Św. i Soborów powszechnych, warto tu, jeśli o Polskę chodzi, przytoczyć przykładowo uchwałę synodu w Budzie w r. 1279, gdzie pod przewodnictwem legata papieskiego Filipa, zjechali się biskupi polscy i węgierscy i powzięli postanowienia, obowiązujące w obu krajach:

„Ponieważ bardzo jest rzeczą niebezpieczną i świętym kanonom się sprzeciwia, aby żydzi, których pobożność chrześcijańska przyjęła i utrzymuje, nie różnili się od chrześcijan żadnemi odznakami; aby z chrześcijanami w jednej mieszkali gospodzie, stanowimy niniejszą konstytucję:

Aby wszyscy żydzi obojga płci w ziemiach naszej legacji nosili okrągły kawałek sukna czerwonego, przyszyty jako znak na piersiach po lewej stronie na sukni wierzchniej, którą zwykli nosić na wszystkich innych sukniach, gdy z domu wychodzą, spacerują lub się publicznie pojawiają“... [3])

---

[1]) Patrz art. wstępny „Gaz. Polsk.“ p. t. „Faryzeusze i dzieci“, z niedzieli dnia 22 maja r. b.

[2]) Znakomicie sformułowana została ta zasada w słynnym *„Code Social“*, opracowanym pod kierownictwem kard. Mercier'a. Por. „Kodeks społeczny“, polski przekład J. hr. Tyszkiewicza, Warszawa 1929, str. 18—21.

[3]) Dr. Ludwik Gumplowicz: „Prawodawstwo polskie względem żydów“. Kraków. 1864, str. 13—14.

Tak określony stosunek do żydów stale w Kościele polskim obowiązywał, wielokrotnie potwierdzany, między innemi na odbytym w sto pięćdziesiąt lat później synodzie wieluńsko-kaliskim, w roku 1420, pod przewodnictwem arcybiskupa Mikołaja Trąby. Oto kilka charakterystycznych uchwał tego synodu:

„Zakazujemy surowo wszystkim chrześcijanom prowincji tej pod karą klątwy, aby żydów i żydówek na biesiady nie zapraszali, z nimi razem ani jeść ani pić nie ważyli się, ani na ich weselach i godach nie tańczyli i hulali.

Nie powinni także chrześcijanie od żydów mięsa, albo innej żywności kupować...

...surowo nakazujemy: aby żydzi w tej naszej prowincji Gnieźnieńskiej bawiący, nie mieszkali wpośród chrześcijan, ale w jakiemś odosobnionem miejscu miasta albo miasteczka; domy swoje jeden obok drugich mieli, a to w ten sposób, aby ich mieszkania od wspólnych mieszkań chrześcijan oddzielone były płotem, murem, albo rowem“ [4]).

Nikt nie zaprzeczał dotąd Polsce piastowskiej i jagiellońskiej charakteru państwa chrześcijańskiego, aczkolwiek nietylko w kościelnem, ale i w świeckiem, państwowem prawodawstwie miała ona wiele przepisów specjalnych przeciwko żydom, wynikających z przedświadczenia, że „żydowie, wiary naszej nieprzyjaciele“... „w wyciąganiu pieniędzy końca nie kładąc, łakomie z uciążeniem szkód wyciągają pieniądze, sromoty w oczu nie mając“[5]). A słowa powyższe wyjęte są ze statutu, którego już nazwa sama powinna chyba w umysłach współpracowników „Gazety Polskiej“ wywoływać skojarzenia sympatyczne, jako przypominająca im nazwisko kolegi czy też może nawet szefa organizacyjnego, boć to przecież Statut... Wiślicki...

Ciężka jest służba takiego publicysty czy polityka, który w Polsce zmuszony jest występować jako rzecznik interesów żydowskich. Program samoobrony, polegający na izolacji Polaków od żydów, jest z punktu widzenia interesów polskich tak oczywisty, że żadnego sensownego argumentu nie można mu przeciwstawić. Nic dziwnego więc, że oficjalny organ „sanacji“, porzucając beznadziejny dla siebie teren walki, jakim byłoby rozpatrywanie uchwał Młodzieży Wszechpolskiej ze stanowiska interesu narodowego polskiego, poprobował zaatakować je z innej strony, usiłując wywieść z nauki katolickiej, iż tylko taki ustrój pretendować może do nazwy „państwa chrześcijańskiego“, w którym wpływ na politykę państwową i udział w rządach posiadają — żydzi...

Ale trudno jest zajmować stanowisko katolickie... nieprzyzwyczajonemu. I tak zdarzyło się, że publicysta „Gazety Polskiej“, pragnąc włożyć sutannę i stułę, aby katechizować młodzież, przez roztargnienie ubrał się w chałat i cycełe, prawdopodobnie przez któregoś z jego kolegów redakcyjnych pozostawione. Warto popatrzeć na to zabawne widowisko...

JAN REMBIELIŃSKI

---

[4]) *Ibid.* str. 47—48.

[5]) Por. Antoni Marylski: „Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce“, Warszawa 1912, str. 73.

GŁOSY

W UBIEGŁYM MIESIĄCU UPŁYNĘŁO SZEŚCIOLECIE od daty przewrotu majowego. Rocznicę uświęciła petitem „Gazeta Polska“; pozatem z większym splendorem nikt, o ile zauważyliśmy, w tym roku okazji tej nie obchodził. Oprócz położenia kraju — nic nie przeszkadzało zorganizowanie dziękczynnego festynu na wielką skalę. Snadź obraz położenia, w enuncjacjach urzędowych nie odbity, lecz we wszystkich mózgach, jak w kliszach niewywołanych — gotowy, sparaliżował zapędy. Długie, sześcioletnie trwanie *régime*'u sanacyjnego, nie uspokoiło umysłów; lecz zato umożliwiło już wysnucie spostrzeżeń spokojnych, skontrolowanych— o tym okresie. Przedewszystkiem położyło kres legendzie o nieprawościach. Można było mieć wątpliwość przed „majem“: rozproszył je z nieodpartą logiką fakt, że nikomu ze szkalowanych polityków nie wytoczono nawet procesu. Owszem, więziono, stosowano regulamin brzeski, karano — ale za „antypaństwowość“, czyli coś bardzo różnego. — Nie poto również zamach wykonano, żeby Polsce zapewnić rząd stały i położyć kres częstym zmianom gabinetów. Po „maju“ rządy zmieniają się również często, jak przedtem. Obecnie mamy trzynasty czy czternasty z kolei. Pewna wspólnota programowa utrzymuje się poprzez kalejdoskopową zmienność rządów — lecz i w tem nic nowego. Tak było i poprzednio. — Nie była też zamierzonym celem przewrotu, zmiana konstytucji: przez sześć lat zdążono ją tylko zinterpretować. Zapowiedziano wprowadzenie nowych tekstów, ale praktyka interpretacji zmniejszyła zainteresowanie tekstami. Wogóle zainteresowanie sprawami państwowemi u obywateli zmalało niezmiernie. Jedną z najcichszych dokonanych zmian była reforma pojęcia prawa wyborczego obywateli. Nikt nie wątpi, jaki musi być wynik wszelkich wyborów pod sanacyjnym *régime*'m. W użyciu nadal jest termin „demokracja“. Pisma rządowe gratulują Polsce „rządów silnych“. Nie imponuje to natomiast zagranicą, gdzie za element stałości uważa się nie „rząd silny“, lecz perspektywę, że ster rządów objąć może po swych poprzednikach opozycja bez wywoływania wojny domowej. — Wobec trudności gospodarczych system pomajowy okazał się zupełnie bezsilny. Zrazu, po przewrocie, niekompetencja w sprawach gospodarczych mniej zaszkodziła; dobrobyt społeczeństwa i zasobność skarbu podniosły się nawet na fali wysokiej konjunktury światowej. Z pogorszeniem się sytuacji, Polska ze wszystkich dużych państw europejskich kryzys najdotkliwiej bodaj odczuła. Ale nie wszystko podrożało. Honor np. staniał. Stał się niezrozumiałym rekwizytem antykwarycznym. Z tem wszystkiem, przy poderwaniu praworządności, przy osłabieniu poczucia odpowiedzialności za państwo w masach, przy uszczerbkach cywilizacyjnych, wyrządzonych narodowi — linja główna polityki sanacyjnej musiała być pozatem w głównym zarysie taka, jak wszelkiego innego rządu polskiego w danych warunkach. Kategorycznie dyktowało ją położenie. Miernie i przeciętnie odpowiadała wymaganiom konieczności. Jak się to stało, że *régime* skądinąd tak przeciętny kosztował Polskę tak drogo pod względem materjalnym i moralnym?

„Ależ my nie Anglja,—nie Francja!"— Znacie ten argument. Nauczyła go ludzi „sanacja". Przedewszystkiem nie powinniśmy się porównywać z Zachodem Europy. My (w znaczeniu cywilizacyjnem) — zgoła nie Europa. Nie stosujcie do nas europejskich kryterjów... u nas musi być inaczej. „My Wschód"... Oto ważne uświadomienie, które wraziła w niektóre umysły era sanacyjna. Na tej tezie opiera się całe uzasadnienie ideologiczne panujących dziś w Polsce stosunków. Wdzięczne przyjęcie znajduje to w kołach „oświeconych" sanacji. A przecież są okazje, kiedy oblicze sanatora nagle próbuje wykrzywić się po europejsku. Wtede w „Gazecie Polskiej" widnieją grube tytuły: „MIĘDZYNARODOWY PARLAMENT LITERACKI". Wtedy J. Kaden-Bandrowski, agitator prawdziwie dwugębny, wygłasza o nas do Niemców odczyt „Rzymianie Wschodu". Bardzośmy wtedy zachodnio-europejscy... Właśnie skończył swe obrady w Budapeszcie międzynarodowy kongres PEN-klubów. Szefem delegacji polskiej był tenże J. Kaden-Bandrowski; reprezentował poezję Kazimierz Wierzyński; powagi dodawał grupie Emil Breiter. Nie sądźcie, że zbyt nisko cenimy wartość propagandową Kadena. Tak kompromitującego delegata nie miał chyba na zjazdach pisarzy żaden naród. Nie mamy tu na myśli wspomnianej już cechy dwugębności. Że można pisać apologję Brześcia na łamach „Gazety Polskiej", a niezależnie od tego podpisywać międzynarodowy protest przeciw znęcaniu się nad więźniami politycznymi—to wygodnictwo, kompromitujące pisarza polskiego tylko w ojczyźnie. Oddać się na służbę *régime*'u, naruszającego w kraju cywilizację rzymską, a wobec obcych zalecać Polskę frazesem o „Rzymianach Wschodu"—to też widowisko, które tylko ci Rzymianie w pełni potrafią ocenić. Nie o to tutaj chodzi. Kiedy mówimy o kompromitacji wobec zagranicy, mamy na myśli pretensjonalność i nieuctwo, które niczyjej uwagi ujść nie mogły. Otwórzmy wspomnianą broszurę o „Rzymianach". Jest to „studjum... wygłoszone dn. 18 grudnia 1927 roku w Berlinie na zaproszenie niemieckiej Sekcji PEN-klubu". Studjum wydrukowali bibljofile (mianowicie „Sekcja Koła Polonistów S. U. W.") — i tak, te próbki głupstwa nietylko do obcych przemówiły (językiem „propagandy"!), lecz i dla swoich zachowały wymowę dokumentu. Zajrzyjmy, bo warto. — „Od ósmego już wieku Rzymianie z religji" — — Tak umiejscowiła się w wykładzie Kadena data przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę. „Od ósmego już wieku Rzymianie z religji, przedewszystkiem zaś Rzymianie wedle wprowadzonego prawa..." Wcale nie było w dawnej Polsce recepcji prawa rzymskiego. Z najściślejszą prawdą stwierdzić trzeba, że poruszając najważniejsze zagadnienia podstaw kultury „rzymskiej", Kaden poprostu nie wie, co mówi. Przykry popis. Lecz jak znamienny, jak symboliczny niemal, ten bezsensowny bełkot sanatora, przed obcem audytorjum usiłującego powiedzieć coś o europejskich pierwiastkach kultury polskiej. Religja i prawo. Twarz sanatora z obowiązku propagandowego wykrzywia się nagle w grymas szacunku dla instytucyj cywilizacji rzymskiej, z któremi era sanacyjna wzięła rozbrat... zaczyna się przemówienie... i okazuje się nagle, że sanacyjny luminarz nie wie zupełnie, gdzie szukać pierwiastków tej cywilizacji, o których słyszał, że legitymują Polskę z jej przynależności do Europy. Nie wie, kiedy zostaliśmy chrześcijanami, nie wie, czyśmy przyjęli prawo rzymskie. Tak w r. 1927, w starannie przygotowanym elaboracie. Czy poziom intelektualny przemówień Kadena wyższy był na zjeździe w tym roku, kiedy delegat więcej improwizował?

NAUKA I LITERATURA

LAUREAT NAGRODY LITERACKIEJ KRAKOWSKIEJ

Z okazji nagrody, którą krakowski związek literatów przyznał Józefowi Aleksandrowi Gałuszce za dwa jego ostatnie tomiki („Głosy ziemi" 1929, „Cienie orłów" 1932) przypomnieć warto inne literackie odznaczenia, jakie dawniejszemi laty przypadły temuż—młodemu jeszcze dzisiaj poecie. Pod dobremi auspicjami dostał się on do literatury, gdyż dwa pierwsze jego zbiorki poetyckie: „Promień i grom" (1920) oraz „Biesiada kameleonów" (1921) natychmiast po wyjściu z pod prasy drukarskiej zostały wyróżnione i nagrodzone przez istniejące jeszcze wówczas Ministerstwo Kultury i Sztuki. Później brał jeszcze Gałuszka kilkakrotnie nagrody konkursowe, np. w r. 1929 za wiersz, matce poświęcony.

Na czele pierwszego zbiorku był zamieszczony rysunek, przedstawiający poetę w mundurze wojskowym—bo też w książce tej mieściły się, w poetycką szatę ujęte, przeżycia wojenne. Były tu one przeważnie stonowane, nieco stylizowane, jednak szczere i świeżości młodzieńczej pełne. Ton własny znalazł poeta dopiero w „Biesiadzie kameleonów". Wzbogacony doświadczeniem (front rosyjski, włoski, bolszewicki), nieskrępowany już kneblem prześladującej go, austrjackiej cenzury, mając możność spoglądania z pewnego dystansu na różne wypadki i zjawiska, młody poeta dał się ponosić i uczuciu i wierszowi, ukazując w jednym i drugim zakresie skalę rozległą. Z lat wojskowych pozostał mu kult obywatelsko-żołnierskiej służby i kult bohaterstwa. Wymownym tego wyrazem są wiersze, należące do najlepszych w dorobku Gałuszki: „Pogrzeb lotnika" („Dusza miasta"), „Szarża ułańska" („Gwiazda komandorji"), „Żelazna gwardja", „Hymn o Lwim Grodzie" („Głosy ziemi"), „Pogrzeb marszałka Focha". Za honorem polskiego munduru ujmował się Gałuszka gorąco w jednym z wierszy, którego z niewiadomej przyczyny nie włączył do żadnego ze swych zbiorków.

Wojna jednakże nie same słowa podziwu i upojenia obudziła w jego twórczości. Zbyt wiele nacierpiał się na froncie, zbyt wiele przeszedł udręki moralnej i psychicznej (nie mówiąc już o zszarganem zdrowiu), by miał uważać wojnę jeno za zdarzenie dziejowe czy — jak to czynili niektórzy — za temat batalistyczny. Jednym z najczęstszych tonów, jakie spotkać można w utworach Gałuszki, osnutych na tle wojny, jest współczucie dla tych, których wojna poszkodowała, skrzywdziła — albo i zaślepiła. Ze smutkiem mówi poeta o chłopach polskich, którzy zmuszeni byli w obcych armjach bić się za cudzą (często wrogą) sprawę — i szli za nią, nieraz z niewytłumaczonym zapałem. Wspomina rzewnie i tych, którzy odziani w mundur zaborczego państwa legli na placu bitwy („Wrony"), a lituje się nad tymi, którzy kładli swe kości w ziemi, uważanej przez nich za ziemię wroga („Cmentarz w Gorlicach"). Najgłębszem jednak współczuciem darzy inwalidów, o których niejednokrotnie wspomina w swych utworach; z utworów tych najwymowniejszy jest wiersz „Królowie - dziadowie", pełen ponurej, zgryźliwej ironji.

Zmartwychwstanie Polski wzbudziło w twórczości Gałuszki — i nietylko zresztą w jego twórczości—falę radosnego optymizmu, którego punktem kulminacyjnym są „Uśmiechy Boga". Przyroda tatrzańska — wśród której poeta przebywał przez czas dłuższy jako oficer podhalańskiego pułku—wpłynęła nań dodatnio pod każdym względem. Skłonności pejzażowe i kolorystyczne, które już dawniej w nim się ujawniały, poczęły odtąd nabierać coraz większej świadomości. Ale malarskie ujmowanie przyrody (tu poecie przydała się przyjaźń, zawarta z Wyczółkowskim) nie było celem ostatecznym, t. j. na niem się wszystko nie skończyło. Poeta poszedł dalej, ujmując przyrodę bądź animistycznie bądź antropomorficznie. Często — może nazbyt często — opierał się na szczegółach religijno - malarskich lub hagjograficznych, które niekiedy podkreślały refleksję utworu, niekiedy jednak służyły tylko celom metaforycznym, co na religijnego zresztą poetę, jakim jest Gałuszka, ściągać musiało niejednokrotnie słuszne całkiem zarzuty.

Z altruistycznych podniet, o jakich wspomnieliśmy wyżej, wypłynął zbiorek „Dusza miasta" (1922) oraz następny

„Ludzie bez twarzy". W obu przeważa podkład „urbanistyczy", a tonem zasadniczym staje się pesymizm, mający zapewne źródło i w osobistych przeżyciach poety. „Głosami ziemi" nazwał Gałuszka swój tomik późniejszy. Przyroda znów w tym tomiku dominuje i robi swoje: przywraca poecie częściowy przynajmniej spokój duszy („Błogosławieństwo") i zasila nowemi pierwiastkami jego skarbiec poetycki (nb. znaczna część tych wierszy drukowała się swojego czasu w „Myśli Narodowej"). Zdobycze są to dwojakie: artystyczne i myślowe, w pierwszych z nich zaś wyróżnićby należało coraz większą przewagę elementów muzycznych; być może, że oddziałał w tym kierunku na Gałuszkę serdeczny jego przyjaciel K. H. Rostworowski, który wszak już w „Judaszu" i „Kaliguli" dokonał niezwykłych eksperymentów „polifonji" oraz „instrumentacji" wierszowej. Eksperymenty muzyczno-wierszowe Gałuszki idą jednak zazwyczaj w kierunku innym, a mianowicie w kierunku onomatopei, która zaznaczyła się już wybornemi efektami w zbiorku „Gwiazda komandorji" (1925), zwłaszcza zaś w słynnym utworze p. t. „Ahaswery":

„Na wszystkich linjach, w wagonach trzeciej klasy
jadą, wiecznie jadą,
w dnie zwykłe, w święta, w szabasy
z pakami, z tobołami,
czarną gromadą
brudne do ohydy
dniem i nocą
szwargocą,
kiwając brodami:
ży — dy, ży — dy, ży — dy, ży — dy —"

Twórczość Gałuszki jeszcze nie jest zamknięta, może się jeszcze bogacić i doskonalić i znaleźć sobie niejedną nową drogę. W ośmiu tomikach, któreśmy od niego dotąd otrzymali, trafiają się utwory, którym niejedno przyganić można, ale są też utwory miary niepowszedniej i wysokiej. Bojkotowany przez niektóre pisma w naszym kraju, zdobył sobie Gałuszka znaczny rozgłos zagranicą. Utwory jego były tłumaczone na jęz. czeski, rosyjski, niemiecki, rumuński, węgierski, włoski i chorwacki.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Józef Weyssenhoff ogłosił list następujący:

„Nie mogąc sprostać zadaniu godnego dziękczynienia za bardzo liczne i łaskawe świadectwa uczuć przyjaznych, okazane mi w żywych słowach, listach, telegramach i w przeróżnych owacjach z okazji uroczystego obchodu 40-lecia mojej pracy literackiej, udaję się do zdawna wypróbowanego pośrednika — do druku.

Nie omyliłem się, poświęcając mój Pamiętnik literacki — czytelnikom. Stawili się tłumnie i głośno dali mi dowody duchowego pokrewieństwa i miłości. Dzisiaj, w atmosferze rozgrzanej przez zabiegi kilkunastu mych przyjaciół, wynurzyły się z tłumu mych czytelników głosy silnych pisarzy, darząc mnie wymowną pochwałą, która dała mi otuchę, że nie darmo trudziłem się dla ogółu. Tym kolegom ślę specjalną braterską podziękę i jeżeli mogę mieć nadzieję, że pamięć o mnie przetrwa kres mego życia, to zawdzięczać będę niejednemu z nich... Zawielu ich jest, abym ich tutaj wyliczał, a tembardziej stopniował zaciągnięty względem nich mój dług wdzięczności.

Jeszcze jedno radosne spostrzeżenie uczyniłem w ostatnich czasach. Społeczeństwo polskie zrozumiało do głębi moje zamiary pisarskie, oceniło trafnie, że nawet gorzkie wyrazy satyry z serca mi płynęły, że piętnowałem to, co mi się wydało wadliwem, a serdecznie miłuję wszytsko, co polskie jest i piękne w Polsce. Społeczeństwo w dniu jubileuszowym obdarzyło mnie serdecznem, niezamąconem uznaniem. Niech do tych, którzy to moje święto tak pojęli i odczuli, a tembardziej do tych, którzy je urządzili, dotrą te nikłe wyrazy mojej gorącej podzięki".

*

W krakowskim świecie literackim po przyznaniu nagrody literackiej J. A. Gałuszce rozszalała burza. Na walnem zebraniu Związku Zawodowego Literatów doszło do rozłamu. Mianowicie kilkunastu członków, krytykując sposób redagowania organu Związku „Gazety Literackiej", oraz występując przeciwko przyznaniu nagrody literackiej Związku J. A. Gałuszce, zgłosiło swoje wystąpienie. Są to pp.: Kazimierz Czachowski, Marjan Czuchnowski, Mieczysław Dąbrowski, Zbigniew Grabowski, Anatol Krakowiecki, Jalu Kurek, Mieczysław Lisiewicz, Aniela Gruszecka-Nitschowa, Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, Artur Schroeder, Stanisław Stwora, Ludwik Tomanek, Jan Wiktor, Witold Zechenter, Mieczysław Zielenkiewicz.

Wypadki takie są pospolite w zrzeszeniach, słabo wewnętrznie związanych ideą. Personalne motywy odgrywają tam rolę decydującą. W tem zdarzeniu widać jednak na rzut oka polityklerstwo. W secesji zbyt wiele widzimy osób, uzależnionych od żydów z „Wiadomości Literackich". Szkoda byłoby „Gazety Literackiej", która się dobrze zapowiadała, gdyby niesnaski krakowskie miały udaremnić jej wydawanie.

*

W d. 29 maja w Dębicy (Małop. Zachodnia) odsłonięto na cmentarzu nagrobek ś. p. Jerzego Żuławskiego, poety, powieściopisarza i dramaturga (ur. 1874, zm. 1915).

*

D. 24 maja odbyło się w lokalu Związku autorów dramatycznych posiedzenie sądu konkursowego nagrody dramatycznej, ufundowanej przez p. Władysławę z Jagminów Reynelową za najlepszy utwór grany na scenach warszawskich od 1. I 1930 do 1. V 1932. Skład sądu konkursowego stanowili pp. Jan Lorentowicz, A. Szyfman, E. Chaberski, W. Bunikiewicz, Z. Kawecki, B. Gorczyński i prezes Związku autorów dramatycznych, Wacław Grubiński. Sędziowie zgłosili następujące sztuki: „Pod falami" J. A. Hertza, „Szczęście od jutra" Kiedrzyńskiego, „Koniec i początek" Maszyńskiego, „Drugie imię miłości" Miłaszewskiego, „Dzień jego powrotu" Nałkowskiej i „Fortepian" J. Szaniawskiego. Po wyczerpującej dyskusji przyznano 6 głosami przeciw 1 nagrodę w kwocie zł. 1.000 Stefanowi Kiedrzyńskiemu za sztukę „Szczęście od jutra".

*

We Lwowie odbyło się walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historycznego. Otworzył je ustępujący prezes prof. St. Zakrzewski, który w sprawozdaniu wymienił, że Tow. liczy 11 oddziałów, członków zaś 1242. Prezesem nowego Zarządu obrano prof. Franc. Bujaka, wiceprezesi: Barwiński, Kętrzyński, Sobieski. Na zakończenie dr. K. Tyszkowski wygłosił odczyt pt. „Polska a Moskwa w czasach Zygmunta III".

*

W Warszawie odbyła się uroczystość otwarcia Instytutu radowego im. Curie-Skłodowskiej. Prezesem Tow. Instytutu jest prof. Paszkiewicz. Na uroczystości obecni byli p. Curie-Skłodowska i dyr. paryskiego instytutu radowego prof. Regaud. Instytut mieści się przy ul. Wawelskiej 15.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród zaniedbań historji polskiej literatury jedno jest szczególnie ważne i domagające się najszybszej likwidacji: Juljan Ursyn Niemcewicz. Zainteresowanie badawcze, które autor „Śpiewów" na przestrzeni lat ostatnich wywołał, wróży i na przyszłość szczęśliwą odmianę. Etapami żmudnej pracy analitycznej zmierzamy ku syntezie. Studja Ign. Chrzanowskiego, St. Kota, J. Dihma i innych zapowiadają monografję o Niemcewiczu, rozważającą całe jego dzieło narodowe i literackie, która stanowi jeden z pilniejszych postulatów polonistyki.

W drodze do owego syntetycznego zarysu notujemy z radością nową pozycję. Staraniem żywotnego Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie, w Pracach Komisji Filologicznej, wydał z rękopisu dr. Ludwik Kamykowski, znany ze studjów nad Śniadeckim, „Smutki Juljana Ursyna Niemcewicza, w więzieniu moskiewskiem pisane do przyjaciela". Tekst niemcewiczowski poprzedza obszerny wstęp Kamykowskiego, zawierający wszystko, co potrzebne jest do zrozumienia wiersza. „Smutki" więzienne rzucone tu są na ekran współczesnej twórczości poety oraz kilku dat z jego życia, uwydatniających należycie genezę poematu. Mamy wszyscy w pamięci najbardziej tragiczne z tych wypadków: bitwę i pogrom maciejowicki, — skreślone niedawno znakomitem piórem Wacława Berenta. Tędy właśnie, przez pola maciejowickie, zawiodła Niemcewicza droga do moskiewskiego więzienia. Na umilenie niedoli zamknięcia, podobnie jak Kołłątaj, podobnie jak wcześniej Sebastjan Petrycy, wypowiedział Niemcewicz swe smutki narodowe i osobiste wierszem. Posłużył się cyklem elegij, kreślonych lewą ręką (prawą miał bezwładną), przy świecce więziennej, w tym samym Petersburgu, w którym powstawał współcześnie, w trudzie młodego poety „Bard polski" ks. Adama Czartoryskiego. „Smutki" niemcewiczowskie zaciekawiają jednak nietylko jako głos żywy i przejmujący chwili. Zajmują także miejsce osobne w dziejach recepcji literackiej Ossjana na gruncie polskim. Refleksom owych pieśni angielskich w tekście poematu poświęcił dr. Kamykowski kilka kart swego interesującego wstępu. Poza „Smutkami", w dodatkach do książki znalazło się kilka innych niemcewiczowskich ineditów z tego czasu, wydobytych z rękopisów i porównanych skrupulatnie z wersjami odmiennemi. (T. M.)

*

Ks. Dr. Józef Umiński, Prof. Uniw. Jana Kazimierza, wydał we Lwowie dzieło pt. „Opinje o cnotach, świąto-

bliwości i zasługach Stanisława Hozjusza“ (Str. VIII + 240 26 ryc. Cena 8,50 zł. Nakładem Funduszu Hozjańskiego). Jest to praca historyka fachowca, może jednak zainteresować każdego, miłującego przeszłość. Autor podaje w niej opinje znakomitości świeckich i kościelnych, polskich i obcych o Hozjuszu. W świetle tych opinij występuje bardzo wydatnie ogrom duchowy Hozjusza, świątobliwość jego niezwykła i wpływy, które zarówno w kraju jak i zagranicą, czy to w dziedzinie naukowej, czy kościelnej wywierał. Poznajemy tu, że był Hozjusz postacią wyjątkową, dla Kościoła i kraju opatrznościową, roznoszącą sławę imienia polskiego po wszystkich krańcach Europy.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Napisana przez dr. Karla Missela niewielka książka nosząca tytuł, *„Währungspolitik und Industriepolitik Agrarpolitik und Sozialpolitik im Italien der Nachkriegszeit“* Tübingen 1931 r. str. 152 — zawiera treściwy obraz polityki gospodarczej, prowadzonej przez faszyzm. Część pierwsza książki poświęcona jest polityce walutowej i przemysłowej. Tu uderza przedewszystkiem to, że faszyzm prawie do ostatnich czasów popierał duże przedsiębiorstwa przemysłowe, nie rozumiejąc widocznie, że przyszłość gospodarcza należy do przedsiębiorstw średnich i małych. Dopiero ostatnio zaczyna faszyzm rozumieć tę prawdę, czego wyrazem jest zakaz otwierania bez zezwolenia władz przedsiębiorstw, mających zatrudniać ponad 100 robotników. Druga część książki poświęcona jest polityce rolnej, na którą zwłaszcza my Polacy, przyzwyczajeni do smutnych rodzimych wzorów, musimy patrzeć z podziwem. Trzecia część poświęcona jest polityce socjalnej faszyzmu, który, pierwszy chronologicznie z pośród kierunków nacjonalistycznych, zdobył się na konsekwentną politykę w tej dziedzinie. Zakończenie omawia treściwie rezultaty gospodarczej polityki faszyzmu. (J. P.)

*

Ukazało się drugie, przerobione i uzupełnione wydanie książki Hermana Levy'ego, noszącej tytuł *„Die Grundlagen der Weltwirtschaft“*. Książka jest systematycznem zestawieniem informacyj o gospodarstwie światowem. Jeśli wspominamy o tej książce, to jedynie dlatego, iż autor, liberał i żyd, nie rozumiejący dokonywających się w świecie przemian, wykazuje zmniejszenie roli Europy w gospodarstwie światowem, t. zn. potwierdza tezę, wygłoszoną przez Dmowskiego przed 10 laty. Jak powszechne się stają pewne tezy Dmowskiego, które, gdy je wygłosił po raz pierwszy były rewelacją, tego wymownym przykładem jest właśnie wspomniana przez nas książka, której autor należy do rzędu osób, co najtrudniej mogą zrozumieć dokonywające się w świecie przemiany. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

SALON „RYTMU“ przypomina bajeczkę o zupie z gwoździa: zupa może być nawet dobra, ale któż uwierzy, że to zasługa gwoździa! Metody stosowane w bajce, przeniesione w życie, wydadzą się zapewne czemś fantastycznem, cel, któremu mają służyć, prawdopodobnie jest bardziej realny. Niecodzienność podobnego pomysłu i potrzebę jego uzasadnienia odczuwali przypuszczalnie i sami autorzy imprezy, skoro jeden z nich, prof. Skoczylas, w artykule umieszczonym w „Gazecie Polskiej“ z dnia 27.IV b. r. i przedrukowanym następnie, prawie w całości, w katalogu wystawy, szeregiem argumentów starał się dowieść słuszności i potrzeby takiego właśnie rozwiązania sprawy. Artykuły znakomitego artysty witaliśmy zawsze z najżywszą radością, jako tak pożądany głos fachowca na niezmiernie ubogiej i u nas niwie krytyki plastycznej. Niestety, artykuł o którym mowa, sprawił nam — przyznamy się—zawód. Szereg zawartych w nim argumentów nie ma mocnego gruntu pod sobą i da się obalić z łatwością.

Skreśliwszy wszystkim znaną historję „Rytmu“ i jego zerwania z Zachętą, prof. Skoczylas pisze:

„Od tego momentu „Rytm“, nie chcąc korzystać z jedynego reprezentacyjnego gmachu wystawowego, jakim do niedawna była „Zachęta“, zmuszony jest tułać się ze swemi wystawami po różnych zakamarkach, korzystając przeważnie z niewielkiego, ale kulturalnego Salonu Cz. Garlińskiego. Te okoliczności wpływają następnie bardzo hamująco na rozwój „Rytmu“, który, urządzając swe wystawy w bardzo szczupłych lokalach, nie może przyjmować nowych członków“.

Rozwój każdego stowarzyszenia artystycznego może być dwojaki: po pierwsze, może się doń przyczynić usilna praca zrzeszonych i stałe postępy, jakie robią (to jest właśnie rozwojem najzdrowszym i najnormalniejszym), po drugie—przez przyjmowanie nowych członków. Prof. Skoczylas, pisząc o „Rytmie“, ma na myśli i wymienia ciągle tylko ten drugi rodzaj rozwoju, stawiając pierwszy wogóle poza nawiasem swoich rozważań. Czyniąc tak, nie wydaje mamy wrażenie, zbyt pochlebnej opinji o pracy i postępach własnych kolegów z „Rytmu“. Dalej czytamy, że „tow. „Rytm“, swój rozwój, **z a h a m o w a n y** przez szereg lat **b o j k o t e m Z a c h ę t y** (podkr. nasze) pragnie“ i t. d. Czytając te słowa, trudno powstrzymać uśmiech. A może prof. Skoczylas rozumie to w ten sposób: członkowie „Rytmu“ tak byli zajęci bojkotowaniem Zachęty, że nie mieli czasu na malowanie. Jeżeli tak, to skłonni jesteśmy mu przyznać trochę racji. Powracając do artykułu, dowiadujemy się, iż towarzystwo, rozwój w ten sposób zahamowany, pragnie

„oprzeć na normalnych, zdrowych podstawach ciągłego odnawiania swych sił, drogą przyjmowania nowych członków z pośród najbardziej utalentowanych i zaawansowanych artystów“.

„Natomiast powinno się już skończyć organizowanie nowych grup — zresztą coraz słabszych pod względem poziomu i przygotowania artystycznego“.

Z tego wynika, z jednej strony: niema już z kogo organizować nowych grup o poważnym poziomie, z drugiej: artyści poważni znajdą się dopiero wtenczas, gdy będzie chodziło o uzupełnienie szeregów „Rytmu“. Sięgnijmy do katalogu, aby zobaczyć, jaki jest stosunek liczbowy ewentualnych kandydatów do towarzystwa, do jego członków obecnych. Z siedemnastu „rytmistów“ wystawiło tylko 11-tu (widocznie nietylko lokal przeszkadza „rozwojowi“). Pozatem wystawia **53-ch** artystów. Przy podobnej proporcji trudno nazwać taki salon „Salonem Rytmu“. Salony zwykle organizują gospodarze lokalu, w tym wypadku jest nim Instytut, który, o ile nam wiadomo, dotychczas nikomu gmachu nie odstąpił. Wszelkie ewentualne sukcesy policzone oczywiście zostaną na karb „Rytmu“. Czy słusznie?

Na zakończenie jeszcze jedno: skoro „Rytm“ nie może się rozwijać inaczej, jak tylko przyjmując nowych członków, uwaga panowie wstępujący! czeka was los okrutny: wstąpicie i potem już jako „rytmiści“ przestaniecie się rozwijać.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„DZIKA PSZCZOŁA“ L. H. MORSTINA

OSIĄ komedji L. H. Morstina „Dzika pszczoła“, wystawionej w teatrze Małym, jest p. Eustachy, mający w Proszowie posiadłość, wielkie gospodarstwo pszczelne i dwie córki — jedna z nich na pensji jeszcze, a druga już rozwódka. Sam wdowiec. P. Eustachy jest przy tem wszystkiem uczonym entomologiem i tak zażartym myślicielem (ewolucja!), że nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje między ludźmi. W komedji niewiele jest środków uwydatnienia rozumu, przerastającego miarę potrzeb bieżących; p. Morstin to i owo usiłuje pokazać, jak to odkrywca praw ewolucji maluje pszczoły na niebiesko, aby je potem śledzić, ale ostatecznie kończy się na starym, wypróbowanym sposobie komedjowym: zamyślenie o prawach ewolucji czyni go tak roz-

targnionym, że aż niedorzecznym. Postać komiczna, wręcz— idjota. Zapytany o sukcesy miłosne, nic sobie nie przypomina; chełpi się, że nigdy nie miał czasu o kobietach myśleć. Pszczoły malował. W jaki sposób ten filozof doszedł do posiadania dwóch pięknych córek, o tem p. Morstin nie pomyślał. Skąd doszedł do posiadłości i dostatku — czyżby to wszystko w drodze ewolucji?

Autor orjentuje się w stosunkach, które na scenie komplikuje, według p. Eustachego. On jest, jak widać z okazywanej mu sympatji, jedynym człowiekiem mądrym. Wszystko poza pszczołą wydaje mu się śmieszne i niegodne uwagi. Istny literat polski przedwojenny. Taki literat, który coś wie o „ewolucji" z ankiety „Pamiętnika Warszawskiego" przy kawie przejrzy niekiedy w „Kurjerze" o sprawie bezrobocia, czasami czyta coś o bolszewikach; ale przedewszystkiem wczytuje się w „Wiadomościach Literackich" w Boya, bo to *clou* sezonu. Wszystko, co się dzieje w społeczeństwie, jest nudne. Może to nawet tragiczne. ale napewno „wszystkim" się znudziło, bo wkółko o tem piszą. Napewno można zaryzykować, że to jest śmieszne; dałoby się napisać o tem farsę. Co innego zagadnienia seksualne— te są „ciekawe" i wieczne. Bo istotnie nikt jeszcze nie postawił na scenie tezy, że mężczyzna musi jednocześnie k o c h a ć dwie kobiety. Dla czego ma koniecznie kochać jedną? Oczywiście dwie...

Żeby ktoś nie wziął autora za rewolucjonistę (on jest tylko ewolucjonistą) i żeby niejako ulegalizować teorję bigamji, p. Morstin bohaterem tego przeboyu zrobił starostę (To już z „Gazety Polskiej"): Temu przecie wolno taką teorję w głos wyznawać. Kobiety trochę się na siebie boczą, ale ostatecznie... Mężczyzna taki energiczny, do tego starosta!

Oprócz sprawy ewolucji (rozmowa z księdzem!) i miłości p. Morstin rozstrzygnął jeszcze kilka innych, wielkiej doniosłości społecznej. Ale te już bardziej sumarycznie, co mu się udało dzięki pomysłowi wprowadzenia starosty. Ten jest genjuszem radosnej twórczości społecznej. Obywatele np. łamali sobie głowy, co zrobić z bezrobociem. Dać robotę, ale jaką, chyba pomnik postawić, ale komu? Także pytanie, jakby nie wiadomo było, komu stawia się pomniki! Ale przyszedł na zebranie starosta: Nie wasza w tem głowa (n i e w a s z e d i e ł o). Wasza rzecz dać pieniądze i mnie oddać, a ja już...

— Dobrze — powiadają — ale skąd pieniądze?

Na to starosta nie widział nawet potrzeby odpowiedzieć. Co jednak nie przeszdodziło mędrcowi-ewolucjoniście zaopinjować:

— Widzicie: jeden się znalazł człowiek czynu. Cóżbyście poczęli bez niego!

Starosta jest nie tylko człowiekiem czynu (dwie żony, pieniądzy), ale i bohaterem. Bezrobotny z podmówienia komunisty teoretyka postrzelił go. Rękę ma na bandażu:

— Puszczę go wolno — mówi do podziwiających go kobiet — nie będę mnożył bohaterów idei.

Tak się to świat przedstawia p. Morstinowi. Grano komedję bardzo pięknie. Czasami może za wolno, ale bo też było nad czem się namyślać. Czasami za cicho, lub bełkotliwie. Są prawdy tak wielkie, że się ich nie mówi nikomu, albo się mówi tylko przyjaciołom — najbliższym...

Niektórzy artyści mieli role wdzięczne, jak Zelwerowicz (Eustachy), p. Jarkowska (Halina), zresztą p. Kamińska (Olga), ale p. Olendzkiemu (starosta) można było współczuć, bo nie miał nic do powiedzenia ani do zrobienia w dramacie, którego był sprawcą, tak niefortunnie ułożyła mu się rola samca między dwiema kobietami z duszą ludzką. Czyż koniecznie starosta musi być pozbawiony pierwiastków ludzkich i blokować musi kobiety do współpracy?

Całuje jedną, przeprasza drugą, a losy obu kobiet uzależniają się nie od niego, lecz od względów służbowych. Gdybyż to przynajmniej wiedziało się, co o tem myśli autor! Panna Jarkowska to „numer"! Powinna jednak dobrze jeszcze popracować nad swoją szkołą dramatyczną zwłaszcza dykcją, bo inaczej Morskie oko.

Niektóre role były na sposób Fredry, inne — Bałuckiego (burmistrz, żona, redaktor). Trzymał sztukę i grał ją Zelwerowicz. Bo też autor jedynie taki stosunek do świata jak jego zna i uważa widać za idealny. Z. W.

ZMARLI

Ś. P. ANTONI MARYLSKI

ŚMIERĆ śp. Antoniego Marylskiego okrywa żałobą społeczeństwo polskie, które w nim miało jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej kultury. Był to jeden z tych ziemian, którzy nad krajem w czasie niewoli podtrzymywali strop cywilizacji historycznej narodu, nie pozwolili mu się załamać, ale owszem nabytkami nowemi kultury w ciężkiej pracy i walce budowę wzmacniali i poszerzali.

Widziało się w nim typ mazura, zabiegliwego w walce o byt i dziarskiego w ochocie życia. Obywatelem był, któremu nic nie jest obce, co kraju dotyczy, jako zagadnienie czy troska serdeczna; który z całą świadomością dziejów czuje się odpowiedzialnym dziedzicem jego dóbr i zaległości, zadań niedokończonych, wad i win. Na frontonie swego domu w Pęcicach pod Warszawą (koło Pruszkowa) położył napis: „Jam Dwór polski, który walczył mężnie i strzegł wiernie".

Dwór wiejski nigdzie bodaj tak chlubnie nie spełniał swej roli dziejowej, jak tu w Królestwie, gdzie w braku innych urządzeń społecznych, był instytucją. Dwór Pęcicki był jedną z tych placówek pracy cywilizacyjnej, które wieś polską w najcięższych warunkach na drodze rozwoju utrzymały.

Ś. p. Marylski urodzony w Pęcicach 1865 r., wykształcony fachowo jako agronom, gospodarzył z powodzeniem na roli, co jednakże nie wyczerpywało zasobów jego energji umysłowej. Gospodarzem też był na niwie społecznej i narodowej jako działacz i jako pisarz. Miał talent pisarski i dużą wiedzę, którą wytrwale pomnażał zwłaszcza w zakresie historji. Z większych prac ś. p. Marylskiego znane są: „Historja włościan w Polsce" (1910), oraz „Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce". Spotykało się często większe rozprawy jego w „Przeglądzie Narodowym". Wiele z nich wydawał w broszurach („Polityka narodowa", „Próżno zastawiają sieci", „Od Jasnej Góry do Hellberga" i in.). Słynął jako publicysta, najwięcej artykułów zamieszczał w „Gazecie Warszawskiej"; do niedawna jeszcze czytywaliśmy z upodobaniem jego wesołe fejletony w tym dzienniku. Wiele też dawał artykułów popularnych do pism ludowych, tajnych (przed wojną) i cenzurowanych. Odpowiadało to potrzebom jego pracy społecznej, jako kierownika licznych instytucyj, a potem posła na Sejm (1919—1927). Należał do Stronnictwa Narodowego, a przedtem do Ligi Narodowej, zawsze wierny, karny, konsekwentny i twórczy.

O rozległości jego zainteresowań świadczą choćby artykuły, zamieszczone w „Myśli Narodowej". W nr. 1 z r. 1925 ogłosiliśmy fejleton śp. Marylskiego pt. „Melanholikom dla rozrywki". Były to wrażenia jego z wystawy sztuki polskiej w Paryżu. Ostatnią pracą śp. Marylskiego, którą „Myśl Narodowa" ogłosiła, była obszerna recenzja z trzeciego tomu „Dziejów Polski" Bobrzyńskiego pt. „Autoportret Michała Bobrzyńskiego" (1931, nr. 22).

Ś. p. Antoni Marylski zmarł po ciężkiej operacji.

Pogrzeb śp. Marylskiego do katakumb na Powązkach zgromadził w orszaku żałobnym liczne zastępy politycznych i osobistych przyjaciół Zmarłego. W imieniu Stronnictwa Narodowego przemawiał senator Jabłonowski, podnosząc zasługi śp. Marylskiego jako obywatela i jego kulturę. Rozrzewnił słuchaczy mową swoją włościanin z Pęcic, Bochenek, który serdecznie wspominał sąsiada i kolegę w pracy na roli i w służbie społecznej. Ta mowa Bochenka — to dokument historyczny, pouczający, jak dodatnio, dzięki obywatelskiemu stanowisku ziemian, układały się w Kongresówce stosunki z ludem.

Ś. p. Marylski przodował w tej pracy, jako łącznik między wsią a najwyższemi sferami społeczeństwa. Pamięć tej zasługi żyć będzie w pokoleniach.

Cześć siewcy i spokój mu wieczny! W.

Do niniejszego numeru załączamy blankiet przekazowy P. K. O. nr. 3105.

OFENSYWA

PAN KADEN JAKO... SŁOWIANIN

DUŻĄ, mówiąc po krakauersku, „frajdę“ można sobie zrobić, obserwując zdala jak te krakauery z d u c h a robią tu w stolicy te swoje „błyszczące karjery“, jak to sobie poczynają przemyślnie, jak się wspinają szczebel po szczebelku, jak się zgrabnie i elastycznie przepychają i rekordy takiej życiowej „wszelkiej pomyślności“ łatwo osiągają. Żadne *infusoria* nie bywają tako ciekawe pod szkłem jako te laseczniki.

Jeden z nich, i to nawet z nazwiska krakauer *(sic!)* ale po niemiecku już piszący *(Weltsprache)*, niedawno dał taki podręcznik o tem, co i jak należy pisać, aby szybko być sławnym i na czem polega zagadka sukcesu i dużych tantjem; drukowały fragment tej pracy Z. Krakauera „Wiadomości Ginekologiczne“... Młoda generacja literacka powinna się z tem zapoznać, aby uniknąć... zapoznania a potem urabiać i kształcić „indywidualizm“ na d w ó c h arcymodelach krakowskiego pomazania, bardzo do siebie podobnych, choć całkiem zupełnie inakich, nawiasowo mówiąc, ostro sobą wzajemnie gardzących.

Dziś dla odmiany nie Boya pod obserwację weźmiemy tu, a tego pana Kadena. Znów bowiem o nim więcej się pisze i mówi w stolicy Judosławian, z racji... pewnego węgierskiego incydentu.

Jak zwykle w maju był znów zlot izra-e l i t y literackiej, tym razem w Budapeszcie. Jedna autentyczna wielkość i potęga pisarska zjechała; spokojny, dystyngowany, epiczny, ostatni przedstawiciel zamierającej, burżuazyjnej W. Brytanji (jeszcze nie *sir*) mr. Galsworthy. Jeden autentyczny komunistyczny, niemiecko-żydowski talent: E. Toller; do nich doczepiona „czandala“ fejletonistów, humorystów, reportażowców, fetorystów, konjukturalnych znakomitości i wprost skrybów trzeciorzędnych, takich jak brodaty Cremieux, opasły Asch, szykowny Salcman (Salten), lub aryjski ale bezgraniczny ordynus Roda-Roda, *causeur* z kordegardy, bajecznie popularny od Ollmütz aż po Czernowitz...

Co pansemityzm ma za cel w podtrzymywaniu reklamowem tych Penklubów, to djabli wiedzą. Dlaczego bankruckie państewka dadzą się nadal naciągać na kosztowne recepcje dla takich „parlamentów duchów“, które są właściwie zganianiną czeladzi i *bagage* literackiej... też niewiadomo.

Największa ekipa do Budapesztu szła tym razem z Polski, w 80% semicka, reszta półkrwi i asystenci. Managerował ten pan Kaden. Relacje czytaliśmy. Takie jak zawsze. Olśnienia i zachwycenia. Jeszcze się nie oswoiły mieszczuszki z dziadoszoskiego Krakowa z „lśniącemi salonami“, „marmurami“, „kryształami“, lokajami w czerwonej gali ze szczerozłotemi kutasami. Jeszcze piszącym galica-nom dech zapiera, gdy do nich idzie po parkietach, w „paradnym mundurze“ ten lub ów szef — gospodarz państwa. Jeszcze się p. Kaden nie zżył z tem, że i on jest *sui generis* też znakomitością z nad Wisły, jeszcze się nie obmył z parweniencji i małomieszczucherji.

Po zjeździe Pen-Clubu w Wiedniu pan Kaden pisał: „gdym słuchał walca Straussa, czułem, że Wiedeń drogi jest memu sercu polskiemu“ (dosłownie). Teraz, gdy słuchał czardasza, znów czuł, że Peszt jest drogi jego „sercu polskiemu“. No i z takiem austrjackiem sercem polskiem zostanie już ten p. Kaden nieuleczalnie. Wciąż galicyjski w każdym calu, w każdej fibrze, w każdem włóknie.

Na recepcji u dyktatora-admirała on prezentował drużynę Pollacków. Dlatego, tłumaczył, jest tak liczna, bo przecież *prosperity* w kraju no i... Batory, Petöfi, Bem. O Böhmie-Ermollim i o Annie Csillag nie wspomniał. Również nie pochwalił się tem, że jego „Czarne Skrzydła“ w tłumaczeniu rosyjskiem wydał Gosizdat w Charkowie własnym kosztem, aby bolszewicy czytali, jak to infernalne jest życie górników polskich w całem polskiem zagłębiu węglowem.[1]) I nie pochwalił się pan Kaden Horthy'emu tem, że do rynsztokowo-antyfrancuskiej, koprolalnej ramoty komunisty Zyssmana (Jasieńskiego): „Palę Paryż“ napisał wstęp, pełen superlatywów („szczere i zacne walory moralne“, „godna cnota“). I nie pochwalił się tem, że o „Czarnych Skrzydłach“ i „Palę Paryż“ jako dwóch genjalnych rewolucyjnych reportażach miewał odczyty w żargonie Szaja Szajdeman. I nie pochwalił się tem, że komunizującej łódzkiej *„Freie Presse“* dał, dla zyskania sobie żydostwa, wywiad o wyższości autorów bolszewickich, w którym mówił: *„Sie verrichteten auf eine blosse Darstellung des Lebens und setzten sich mit ihrer gauren Kraft für die Verfechtung einer Idee sei es mir die W e l t r e v o l u t i o n, die freie Liebe* oder *ein anderes Ziel ein“*. I nie pochwalił się p. Kaden swoim wywiadem do ż a r g o n o w e g o p r a s k i e g o tygodnika *„Wahrheit“*, gdzie mówił: „zdążamy w świat etyki, w świat prawdy, gdzie religja staje się dla wszystkich zbyteczną“. I nie pochwalił się swym wstępem do antologji nowelistów sowieckich, z których, nawiasem mówiąc, co drugi ma o 50% więcej talentu a o 40% więcej rzetelności umysłowej i ideowej. Nie, o tem wszystkiem nie mówił Przed Horthym stanął Kaden faszysta, Kaden rycerz, Kaden konserwatysta, tradycjonalny Kaden, żołnierz pokryty ranami od czuba do pięty, zwycięzca z pod Rafajłowej, z pod Konar, z pod Łowczówka, jeden z tych literatów, co to „szabliskiem precz gnali pięć korpusów Moskali“, Kaden-Mohort z dziada pradziada.

I cóż się dziwić potem, że rozczulony admirał Horthy powiedział panu Kadenowi, że jedni i drudzy są *Herrenvolk*, no i że zanucił, żegnając się z Pollackami: *Gott erhalte J. P. Gott beschütze! Servus!*

Wobec tego wniebowzięty i oszołomiony splendorami Krakauerczyk palnął sobie zaraz fejleton hołdowniczy i to już nawet pod madziarskim tytułem: *„Maradhat er igy!“* gdzie dużo i o „żałobie“ i o „krzywdzie“, no i że niby najwyższy czas *(höchste Zeit)* na rewizję granic... Bem, Batory, Petöfi... no i niby, że nic nas nie dzieliło, wszystko łączyło... i t. p...

Z pro-bolszewizującego Kadena już się zrobił pół-honwed. Sto egzemplarzy „Gazety Polskiej“ z Kadenowym *„Maradhat er igy!“ (Nem! Nem Soha!)* poszło na pocztę... Mogliby „Barcza“ przetłumaczyć... *Fishing of translations.*

Na drugi dzień przyszedł skandal. Kiedy na bankiecie w „Hungaria“ (marmury, kryształy, lokaje ze złotemi kutasami) żegnano już rozjeżdżających się Semitów, literat Gyula Pekar w swojej oracji wymienił dziękczynnie wszystkie nacje i ani słowem o... Słowianiach.

Czyżby tak liczna ekipa robiła tak niesłowiańskie wrażenie?

Tego było jednak już zadużo i p. Kadenowi. Już wysłał do Warszawy pocztą swoje *„Maradhat er igy!“* Zerwał się tedy jako ten lew, jako ten łoś („niech ryczy z bólu ranny łoś“!) i „dał należytą odpowiedź p. Pekarowi“ (po niemiecku, to znaczy w żargonie Pen Clubu) poczem po polsku „braciom słowianom przypomniał, że przecież genjusze słowiańscy wnieśli do skarbca“ i t. d. i t. p. e t c.

Tym razem oklaski „słowiańskie“ „pokryły“ mowę naszego Papkinda. Klaskały żydki ze Sofji, z Zagrzebia, z Pardubic, z Morawskiej Ostrawy, i pan Asz, i pan Breiter. Na drugi rok w maju już może jechać ze swoją ekipą do Białogrodu...

Archiewaniak ten Tyrteusz sanacyjny. *„Elien!* Kaden *teremtete!“*

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) Nie tylko w Dąbrowie Górniczej. „Wiadomości Literackie“ reklamowały wyraźnie:

„Un roman sur le district houiller polonais. „Les ailes noires“, grand roman de M. Juljusz Kaden-Bandrowski, récemment publié et dont le sujet est emprunté à la vie du district houiller polonais, présente quelques analogies avec le „Germinal“ de Zola“.

NA MARGINESIE

W mijające 30-lecie śmierci (w dn. 3 czerwca b. r.) wielkiego pisarza Adolfa Dygasińskiego, warto może przypomnieć kilka zdań z zapomnianego jego artykułu pt. „zamilczenie w prasie“, drukowanego w warszawskiem „Życiu“ 1888 r. (nr. 6). Dzisiaj może myśli to bardziej aktualne, niż kiedykolwiek:

„Polityka milczącego oburzenia, albo, jak chcą niektórzy, z a b i j a n i a p r z e z pogardę m i l c z e n i a, jest u nas do dziś wielce charakterystyczną, bo trwa ona i obecnie w stosunku do niektórych organów... Otóż, takie zachowywanie się należy uważać jako brak stałych, wyrobionych, obywatelskich przekonań i zupełną nieobecność odwagi cywilnej... Ktokolwiek zabiera głos w sprawach ogólnych, odpowiadać mu zawsze warto, bez względu na jego osobistość, ale z powodu tego, że chodzi o interes ogólny“.

*

Prof. H. Ułaszyn, mniej znany w świecie naukowym, szuka stanowiska poza społeczeństwem polskiem, jako zawodowy „bezbożnik“ w stylu bolszewickim. W liście, który ogłosił teraz w jednem z pism żydowskich, bluźni przeciwko religji katolickiej. Zbyt wiele bierze na kieł swego bezbożnictwa. Nie boi się cenzora, ani prokuratora. Powinna jednak być w społeczeństwie jakaś służba bezpieczeństwa publicznego z kwalifikacjami dentystycznemi, któraby takie kły umiała przypiłować. To nie jest człowiek.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.